№ 22. Warszawa, dnia 3 (15) Marca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartal: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

PYTANIA CZASU.

I.

Stosunek społeczeństwa do kwestyj na dobie.

(Dokończenie. Ob. Nr. 21.)

Tylko że nietak to łatwo rozporządzać się jak szara gęś, biorąc w nauce to, co przypada do naszego smaku, odtrącając zaś inne szczegóły, którym niesprzyjamy. Nauka w granicach podmiotowego upodobania zamykać się nie pozwala. Chciałeś deszczu na rolę, będziesz miał wilgoć w spacerowéj alei; chcesz czystości w domu, przygotuj się na kurz i nieład, które ją poprzedzą. Nienawidzisz nowatorstwa, odbierz książkę z rąk wychowańców, nie posyłaj dzieci swych do szkoły, stęp w nich dary boże, zwichnij polot ducha, lub jeśli jesteś dość zręcznym: naucz ich zawczasu wchodzić w obłudne układy z rozumem i sumieniem. Niech ćwiczą się w okłamywaniu siebie, nim zaczną uprawiać swoją sztukę na zewnątrz. Tyle tylko zrobić możesz nie wysilając się na złość pomnikową. Będzie to wystarczającém jak na jednostkę, zwłaszcza gdy potrafisz zachęcić do naśladownictwa grono sąsiadów i przyjaciół. Pytaniom czasu nie zaszkodzisz wprawdzie, ale zwolennikom swoim i adeptom usłużysz, co się nazywa!

Trzeba być zgodnym z sobą w życzeniach, bo pod tym szczególnie warunkiem życie i natura ziszczać je mogą. W przeciwnym razie, będziesz zawsze niezadowolonym. Jeśli dąsanie się służy ci na zdrowie—zżymaj się do syta. Chaque baron a sa fantaisie. Młóć w przedęty bębenek nietolerancyi, uderzaj na trwogę w stańczykowe dzwonki—wolno ci to mój chłopcze, dopóki trzymasz się własnéj grzędy. Przechodniów nie nastraszy twoja domowa muzyka. Ciekawsi zatrzymają się na chwilę posłuchać *Katzenjammer'u*, drażliwsi zatkną uszy—a wszyscy pójdą dalej...

Zdawałoby się, że zapał z jakim to anachroniczne bractwo stara się zagłuszyć pytania czasu, pochodzi z czystéj, gorącéj, chociaż zbyt żarliwéj wiary. W istocie zaś, inna siła ożywia hałaśliwe płuca chorzystów. Siła ta nie zeznająca siebie, i niewłaściwie wiarą nazwana, jest raczéj prądem skrycie nurtującego wątpienia.

Tak.... jest to zwątpienie! Nadmieniliśmy już, że uparty konserwatyzm i zacięty sceptycyzm, zbiegają się w źródle niewiadomości. W tém co teraz utrzymujemy, powinowactwo ich jeszcze bliższe, a główna różnica leży zaledwie w przedmiotach niewiary. Konserwatyzm nieufa przyszłości, którą widzi przed sobą w barwach tajemniczych; nieufa teraźniejszości, któréj potęgom powierzyć nie chce przyszłości; nieufa również przeszłości *prawdziwéj*, bo ani żąda wrócić (przynajmniéj nie objawia się z tém wyraźnie), do podaniowego raju, ani domyśla się coby tam znalazł, gdyby kiedykolwiek trafił. O ile wiemy, nie nęci konserwatystów żadna miniona epoka w swojéj *staléj* (?) formie. Marzeniem ich jakaś nieistniejąca historya zastosowana eklektycznie do osobistych gustów każdego z marzycieli. Jedna niewiara w owoce postępu wiąże te różnorodne ogniwa w łańcuch pstréj fantasmagoryi.

Niczém lepszém i niczém gorszém sceptycyzm pochwalić się nie może. Ta sama *ujemność* w zasadzie, tylko na inny sposób.

Co innego ostrożność, sąd nieuprzedzony, badanie staranne gruntu! Co innego uczciwość w przyznaniu się do braku pewności; co innego nawet błąd popełniony w ustawieniu liczb rzetelnych, który przy baczniejszéj próbie może być kiedyś sprostowanym! Co innego praca sumienna, wszechstronna, nie kusząca się o nadpowietrzne skoki, o rzucanie tęczowego pyłu w oczy!... Ciemnota może bredzić przez naiwność — to już jéj smutny przywiléj, ale w imię światła rozsiewać mrok, w imię mądrości spotwarzać rozum, w imię prawdy uzbrajać się przeciw wiedzy, w imię obowiązku skrywać sztucznie potrzebę,—ale ze stanowiska historyi i cywilizacyi urągać pytaniom czasu, które Moc Wyższa rządząca i tą historyą i tą cywilizacyą naszą, zadaje ludzkości—jakiż to nierozsądek i bluźnierstwo!

Dla pewnych teoretyków, rozprawiających wiele o cnocie i miłości, którzy pomimo dźwięcznie wygłaszanych słówek nie gardzą fałszywie odbrzmiewającym czynem, i bez wahania się zaprzedają ducha gdzie i o ile mogą na powszednie usługi ciału; dla wrzekomych wyznawców harmonii, a w rzeczy saméj hołdowników chaosu, rozmiłowanych do tego stopnia w mętnéj wodzie, że siłą się powstrzymywać jéj bieg, byle brudną barwę zachować; dla takich mistrzów porządku, strona praktyczna sprawy jest zazwyczaj najwymowniejszą. Otóż, pominąwszy moralną zgrozę zaślepienia, będącego obrazą prawdy wzniosłéj i wiekuistéj, do któréj tylko przez powolne poznawanie zbliżać się można, powołujemy się na bezpośrednio dotkliwe niedogodności systematycznego oporu. Zapomnijmy że idzie tu o zadanie człowieczeństwa, o prawo oderwane w myśli naszéj, pamiętajmy jedynie że dla własnego dobra powodować się uprzedzeniami nie powinniśmy. Czémże są pytania czasu? Chorobą, nędzą, szaleństwem—odpowiadacie. Niech i tak będzie. Ależ właśnie ta choroba dowodzi przywar waszéj hygieny, ta nędza przekonywa

o wadliwości bilansu przedstawiającego świetną, idealną summę, to szaleństwo wynika z obecnego stanu ducha i z warunków, w jakich dotąd zostawał. Niewygrażajcie przyszłości takiéj, jaką chce mieć Wola, nieoglądająca się na wasze zachcianki. Nie mówcie że to ruina, bo na ruinę zdobywa się przeszłość a nie przyszłość, którą Bóg stwarza dopiero.

Twierdzicie, że niesłusznie przypisują wam chęć cofnięcia ludzkości na opuszczone już tory. Wy nie macie tego zamiaru, lecz nie lubicie iść naprzód; wy niechcecie stanności, lecz rozwój mieni się u was zepsuciem; wy oświatę w abstrakcyi uznajecie, lecz potępiliście szczegółowe jéj przebłyski... Wielbicie naukę, lecz pragniecie złudzeń, szanujecie nawet marnotrawną jéj córę: filozofię, byle nie sceptyczną, nie materyalną, nie pozytywną, nie mistyczną, nie racyonalną, nie spekulatywną i nie empiryczną!

Logika mniemanych strażników ładu i równowagi zbyt jest ślizką a wątłą, żeby na niéj swobodnie oprzeć się można. Wznoszą oni na lodzie gotycką kolumnadę. Szkoda gotyku!

Więcéj logiczności znajdujemy w zarzutach czynionych postępowcom, za to, że pytania czasu rozwiązują się u nich często po macedońsku, z niesłychaną lekkomyślnością i zarozumieniem. Ten pośpiech dyletantyzmu przyczynia się niezawodnie do opóźnienia porządnéj roboty. Jak do niéj przystąpić gdy na około roi się ciżba ambitnych próżniaków, pysznych nieuków i krzykliwych samochwalców? Zgiełk z jednéj strony, Zgiełk z drugiéj. Rozpoznaj że tu głos, prawdy, odróżnij poświęconych od natrętów!

Ponieważ wkrótce obszerniéj pomówić mamy o szczerych i nie szczerych przedstawicielach pytań czasu, zakończymy przegląd nasz stosunku publiczności do pytań czasu ogólnemi uwagami.

Pytania czasu już dla tego, że wyrażają przeważnie *niepewność*, nie mogą mieć czysto-dodatniego charakteru. Pytania te nazwaćby można *wymaganiami* teraźniejszości. Nie są one ani cudowną manną spadającą z obłoków, ani nowém nieszczęściem, lecz zwrotem ku naprawie, w skutek poczucia dawnych braków.

Każde pytanie czasu posiada swoją energię, jak pragnienia fizyczne mają sobie właściwą. Energia ta nie jest nam obcą, oderwaną; działa ona we wnętrzu ludzkości, jak głód w organizmie człowieka.

— Czémże ją nasycić? jak zadowolić? W tém już twój dowcip gospodarzu świata. Wiedz jednak, że nie pozbędziesz się jéj lada czém. Ledwie przytłoczona, wnet obudza się z większą niż przedtém sprężystością. Zaniedbana — staje się *szkodliwą*.

O tym ostatnim wpływie pytań czasu pamiętają dobrze konserwatyści. I słusznie, że pamiętają. Zadania cywilizacyi objawiające się dopiero w formie pytań, na które odpowiedź jeszcze nie gotowa, a żyć trzeba wciąż daléj—odsłaniają namiętnościom wiele błędnych ścieżek, nęcących pięknym i szlachetnym pozorem na bezdroża. Ztąd zwyczaj upatrywania „oczyma duszy" we wszystkiém co niedość wiadome, a już potężne— wyroku zatracenia. Ztąd arcy-przezorny moralista w najniewinniejszym nawet ruchu ekonomicznym widzi *quatre mouvements* Fourrier'a; ztąd na wzmiankę o kredycie dla pracy chwyta się skwapliwie za kieszeń, przypomniawszy zapewne określenie własności przez sławnego publicystę, którego nie czytał, lecz ma go w prostocie ducha za rzezimieszka; na wzmiankę o cywilném małżeństwie, lub co straszniejsza o rozwodzie— zakrywa wstydliwie twarz połą swéj szaty; na wzmiankę o psychiczném znaczeniu interesu w sprawach ludzkich, o przyczynowości woli i t. p.—po prostu egzorcyzmuje. Kobietę, która będąc panną nie chce być lalką, a będąc mężatką nie chce zostać klucznicą, wytyka palcem jako bezwstydną bachantkę; mistrzów nauki odważających się wykładać historyę, filozofię, chemię, fizykę, astronomię i geologię nie według jego myśli—skazuje *in petto* pa całopalenie.

Dziwném teraz wydać się może gdy powiemy, że nadużycia idące w ślad za nowemi teoryami usprawiedliwiają w znacznéj części bezsilne oburzenie owych moralistów. Ileżby to bowiem naliczyć można ofiar zbytniéj porywczości w garnieniu się do ledwie wschodzącego światła idei, które w jutrzence swéj, jaskrawiéj zwykle połyskuje nad wirem *rozhukanych bałwanów* ciągnących w przepaść, niż nad brzegiem stałego lądu.

Prosta jednak rachuba dowieśćby powinna, że gdzie żadna omyłka nie uchodzi bezkarnie, tam na każdym kroku potrzebną jest wiedza. Im mniéj omamień tém lepiéj. Schować głowę w śnieg jak kuropatwa—nie sztuka, ale czy roztropny to środek ratunku?

Więc gdy prądu pytań czasu przeprzeć niepodobna, należy i łódkom pojedyńczym płynąć z nim w stronę kędy posuwa się cała nawa ludzkości. Od grożących wywrotów, od zgubnéj mielizny ustrzedz je tylko może niezmordowana czujność, która wciąż patrząc przed siebie wciąż oświecać się rada, rozsądna czujność, mówimy, a nie harda beztroska śniąca wśród niebezpieczeństw, że na lwa srogiego bez obrazy wsiędzie i na ogromnym smoku, jeśli nie gdzie indziéj to na obiecaną przez Momusa Wyspę wiecznéj szczęśliwości, *per fas et ne fas* zajedzie.

Skoro zaś i czujność nie wystarcza, i wiedza dalszych kresów nie uwydatnia, wtedy uczciwemu przewodnikowi pozostaje w dwóch słowach zamknąć swój zawód sterniczy, swoje obywatelskie posłannictwo na ziemi:

— Kto wie?

To jego „kto wie?" jakże różnić się będzie od zarozumiałéj pewności i grzesznego zwątpienia! To „kto wie" nie przeczy niewiadoméj prawdzie i nie uczy fałszu. Owszem, otwiera nowy szlak badań, nowe szranki zasługi, łączy rodziców z dziećmi, starość z młodością, chwałę z nadzieją.

I w saméj rzeczy *kto wie* co stanie się kiedyś z pytaniami czasu, na które nie było w mocy spółczesnych dać stanowczéj odpowiedzi? Lecz odkąd na pytający głos cywilizacyi odpowiadać tylko umiemy wzruszeniem ramion, odtąd skończyła się nasza czynna rola... Zabierajmy z sobą co dostało się komu: ci laury, owi wianki cierniowe... Pytania czasu powołują na arenę silniejszych świeższych działaczy, — przed nami wspomnienia i spoczynek.

Zły i pyszny jak szatan, kto takim udziałem gardzi. Udział to piękny jeśli pięknem było życie, chylące się ku grobowi... *D. Henkiel.*

NIEWIASTY W XIV WIEKU.

Ustęp z dziejów obyczajów średniowiecznych.

przez **Wł. Chomętowskiego.**

II.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21).

Ale przykłady te malują tylko ujemną stronę ówczesnych stosunków, nie są zaś bynajmniéj dowodem zepsucia ogólnego w narodzie. Zauważymy tu, że konstytucye synodalne, w których zwracano uwagę na potajemne uprowadzania panien z domu rodziców, wskazują Szlązk jako miejscowość, w któréj praktykują się często podobne nadużycia. W Szlązku też z napływem niemieckiéj ludności w ciągu XIII wieku, obyczaje kształtowały się na sposób zagraniczny. Charakterystyczną w téj mierze czytamy powieść w dziejach henrykowskiego klasztoru.

Między innemi posiadłościami, grunta Michała syna Dalibora graniczyły z zabudowaniami klasztoru. Sprowadził on kolonistów Niemców, których żony i córki wyprawiały tańce i śpiewy w klasztornym ogrodzie. Widząc to opat Bodo, frasował się mocno i mówił z ciężkiém westchnieniem: „Jeżeli te zabawy wejdą we zwyczaj i potrwają długo, wtedy dusz wiele może być narażonych na zgubę." Następnie przemyśliwał opat nad zapobieżeniem złemu i traktował tak długo z Michałem, aż nakłonił go w końcu do zamiany przyległéj klasztorowi ziemi na wieś Nikławicę.

Tym sposobem pozbył się opat niebezpiecznego sąsiedztwa niemieckich przybyszów. Jak na Szlązku tak i w innych dzielnicach dawnéj Polski ludność miejscowa odznaczała się od napływowéj moralniejszym, i że tak powiemy, poważniejszym obyczajem. Stawiamy twierdzenie to porównawczo, nie ulega bowiem wątpliwości, że stosunki towarzyskie w XIV wieku nie były i u nas wzorem do naśladowania w zakresie obyczajów.

Przypomnijmy, w celu poparcia naszego założenia, tragiczną historyę księżny mazowieckiéj, oskarżonéj, jak powiedzieliśmy wyżéj, o złamanie małżeńskiéj wiary, osadzonéj następnie w zamku rawskim i uduszonéj z rozkazu męża. Podejrzenie to żadnym nie usprawiedliwione było dowodem. Widzimy atoli z innych przykładów, że łatwo szafowano w owéj epoce tego rodzaju potwarzami, nawet względem najzacniejszych królowych, jakiemi były: Jadwiga i Zofia, żony Jagiełły.

Przyznajemy więc, że pospołu z wielu zagran cznemi zwyczajami wciskała się do nas swawol Z polepszeniem materyalnego bytu wzrastało z: miłowanie w hucznych biesiadach, w muzyce i tańcach.

Możniejsi panowie utrzymywali liczną służbę dworską, marszałków, podskarbich, masztalerzy, szybkobiegaczy i grajków; przyjmowali chętnie kuglarzy i błaznów, którzy jak znany Sowizdrzał z czasów Kazimierza Wielkiego, zabawiali domowników i gości krotochwilami i rubasznemi opowieściami.

Królowe Aldona i Jadwiga utrzymywały grajków, którzy towarzyszyli im w podróżach. Studenci w Nowém Mieście Korczynie popisywali się ze śpiewem przed królową Jadwigą. Królowa Elżbieta Łokietkówna, w czasie sprawowania w Krakowie namiestniczych rządów, dla złagodzenia bolesnych wrażeń wywołanych najazdem Litwinów, wyprawiała częste biesiady z muzyką i tańcami.

Pod wpływem ogólnego rozmiłowania w hucznych zabawach, wkradły się nadużycia do murów klasztornych. Przypominamy tu owe schadzki Wilhelma z Jadwigą w refektarzu klasztoru Franciszkanów i wyprawiane tam pląsy gwoli zabawie zakochanych. Był to nowy, a przynajmniéj rzadko praktykowany u nas zwyczaj, niezgodny z dawną powagą książęcych naszych dworów. Wiadomo, że klasztory w dawnych wiekach były nietylko domami modlitwy i zakładami dobroczynnemi, ale zarazem przybytkami gościnnemi, w których biedni i prześladowani lub podróżni znajdowali schronienie i opiekę, bez

różnicy płci i wieku. Owoż z czasem nadużywano gościnności klasztornéj. Zjeżdżano się z okoliczności wyprawianych igrzysk, turniejów, lub łowów. W braku gospód czyli zajezdnych domów, znajdowali goście w murach klasztorów obszerne i wygodne pomieszczenie. Rozumie się, że zwyczaj ten oddziaływał niekorzystnie na moralność ogółu. Ztąd w dziejach klasztorów zamieszkanych przez zakonników niemieckiego pochodzenia, wiele napotykamy szczegółów, świadczących o zepsuciu ówczesnych obyczajów. Kronikarz żegańskiego klasztoru opowiada, że widziano niejednokrotnie niewiasty ucztujące w refektarzu klasztornym. Zapijały te panie ochoczo wino i piwo. Zdarzało się atoli, że przeor troskliwy o zachowanie czystości obyczajów, używał fortelu w celu niedopuszczania niewiast za furtę zakonną, więc przepijał do nich i bronił im dostępu do refektarza, zabawiając ich tak długo rozmową, że aż znudzone w końcu porzucały progi klasztorne (Stenzel. Catalogus abbatum Saganensium).

Wesela w XIV wieku odprawiały się hucznie w gronie licznych zaproszonych gości. W zamkach i dworach szlachty zapijano z okoliczności godów potężnie wino i piwo, przyczém rozdawano upominki gościom i przyjmowano od nich nawzajem, według powszechnego bardzo dawnego zwyczaju. Sute wyprawiali śluby mieszczanie ze zgrają muzykantów, komedyantów lub błaznów. Wiadomość o nich podają nam wilkierze, które ograniczają liczbę gości, muzykantów, ilość i rodzaj podarków, sukień i t. d. Panie stroiły się w wysokie czepce i czuby, w długie suknie ze złotogłowu z szerokiemi złotemi galonami i w bogate kanaki na głowę. Panny nosiły się z rozpuszczonemi włosami, z wieńcami na głowie, niekiedy ze złota lub z pereł. Zimową porą nosiły mężatki czepce futrzane.

Zamożny mieszczanin wydający za mąż córkę, zakupował podarunki dla przyjaciół, którzy nawzajem wywdzięczali się upominkami. Wilkierz krakowski z 1378 roku zastrzega, że sprawujący wesele ma tylko czterem niewiastom i tyluż mężczyznom złożyć w podarunku szaty. Ogranicza również liczbę zaproszonych osób do ośmiu w imieniu pana młodego i tyleż ze strony panny młodéj. Nie wolno też więcéj zastawiać stołów nad cztery i zamawiać więcéj nad czterech muzykantów. Po skończonéj uczcie dozwalało się młodzieży zapraszać do tańca panny i mężatki. Dawny był wreszcie zwyczaj, wzbraniany rzeczoną ustawą, że przed oblubienicą idącą do kościoła niesiono zapalone świece. Przed [illegible], w orszaku niewiast z muzyką i śpiewem, udawała się panna młoda do łaźni.

W r. 1383 uchwalili panowie radni we Lwowie, że sprawujący wesele nie może na nie zapraszać więcéj nad szesnaście osób, zastawiać nie więcéj nad cztery potrawy i trzymać więcéj nad dwóch strzelców, pod karą czterech grzywien. Zastrzeżono też, że nie wolno wyprawiać sutych bankietów z okoliczności odbytego połogu.

Nie ganiąc przezorności panów radnych troskliwych o zabezpieczenie majątku mieszczan przeciwko marnotrawstwu, musimy przyznać, że owe sute bankiety wyprawiane z okoliczności uroczystości rodzinnych, wypływały z poczucia gościnności, która była jedną z cech dodatnich średniowiecznego rycerstwa. Znane z dziejów opisy uczt i przyjęć królewskich, jak np. z okoliczności ślubu wnuczki Kazimierza W. Elżbiety z cesarzem Karolem, mogą być miarą gościnnego usposobienia ówczesnych rycerzy i mieszczan. Marnotrawiono zaś najwięcéj majątki na gry hazardowne, a nadewszystko z powodu braku wychowania i nieumiejętnego szafowania funduszami. Przyczyny bankructwa prawie jedne są i te same dziś jak przed czterystu laty. Dla zadłużonych też panów i książąt jedyną częstokroć kotwicą zbawienia było małżeństwo. Tak ratował się pod koniec życia zrujnowany Bolesław książę na Lignicy i Bregu. Marnotrawił tak pieniądze, że zmuszony był oddać wierzycielom w zastaw najgłówniejszą część swego dziedzictwa: Lignicę Hainowię i Złotą Górę, za dług wynoszący kilka tysięcy grzywien. W końcu, gdy nie wystarczyły już jego dziedziczne posiadłości, oddał w zastaw kupcom wrocławskim własnych synów Wacława i Ludwika; zatém do takiéj przyszedł nędzy, że nie posiadał ani jednéj piędzi własnéj ziemi. Skoro umarła mu żona Małgorzata córka króla czeskiego Wacława, pojął drugą Katarzynę z Krakowa, nieznanego pochodzenia i nazwiska. Ożenienie to podniosło go z nędzy, wykupił albowiem za posag małżonki Bregę i Oławę i zamieszkał w Bregu. Synom Wacławowi i Ludwikowi oddał mocno zadłużoną ziemię lignicką, zostawiając ich zreszta własnemu przemysłowi. Atoli rycerze i kmiecie ulitowali się nad losem młodych książąt i wykupili ich dziedzictwo z rąk wierzycieli, spłacając względniejszym część tylko długu, na mocy dobrowolnych układów,

Między różnemi przyczynami, które wiodły do utraty mienia, było namiętne oddawanie się alchemii i czarnoksięzkim sztukom w powabnéj nadziei posiędzenia skarbów. W ten sposób według świadectwa Długosza (Lib. beneficiorum I, 229), Piotr Szafraniec syn Piotra podkomorzego krakowskiego roztrwonił otrzymany po ojcu majątek. Wiara w tych czasach w możność wzbogacenia się za pomocą pewnych środków tajemnych była niemal powszechną. To też ludzie, którzy dobili się nagle z niewiadomego źródła bogactw, otrzymywali często miano czarnoksiężników. Kto wie czy znany oszczerca królowéj Jadwigi, Gniewosz z Dalewic, nie zasłynąłby tém mianem, gdyby nie przeświadczono się o źródle jego skarbów. Znana jest wszystkim historya swatów królowéj Jadwigi z Wilhelmem księciem rakuskim, w któréj główną rolę odgrywa Gniewosz podkomorzy krakowski. Pamiętamy również, jak dzielny Dymitr z Goraja powstrzymał zapał młodziuchnéj królowéj, usiłującéj z toporem w ręku utorować sobie drogę do ukochanego Wilhelma. Owoż kiedy w duszy Jadwigi uczucie królowéj jako matki narodu i chrześcianki odniosło tyumf nad urojeniami dziewiczéj wyobraźni, nieszczęśliwy kochanek musiał uchodzić pośpiesznie z Krakowa, pozostawiając znaczne skarby w klejnotch i w pieniądzach w rękach usłużnego Gniewosza. Długo namyślał się podkomorzy nad zabezpieczeniem skarbów przeznaczonych dla młodego syna, który był wówczas małém jeszcze dziecięciem. Nie lubił starszego syna, bo był namiętnego charakteru i miewał nawet niekiedy napady szaleństwa. Nie dowierzał żonie i obawiał się, że po jego śmierci pojmie drugiego męża i roztrwoni skarby. Tymczasem w podeszłych latach ojciec nie spodziewał się doczekać pełnoletności młodego ukochanego syna. Owoż zwierzywszy się przeorowi Augustyanów, postanowił w kościele S-téj Katarzyny ukryć rzeczone klejnoty i pieniądze przeznaczone w spadku dla najukochańszego Jana, skoro dojdzie do pełnoletności. Tajemnicę tę powierzył również staréj zasłużonéj słudze, i wręczył jéj nawet klucz téj skrzyni, w któréj zachował skarby. Ona więc miała otworzyć ją we właściwym czasie, w celu oddania ojcowskiéj spuścizny Janowi. Przeor atoli nie wiedział, że sługa przypuszczona jest do tajemnicy. Skoro po śmierci Gniewosza nikt przez długi przeciąg czasu niezgłosił się po rzeczone klejnoty, badał przeor pozostałą wdowę względem spadku po mężu i przekonał się, że nie wie nic o skarbach ukrytych w kościele. Rozmyślał długo jak ma postąpić z depozytem po śmierci właściciela, który prosił go tylko o dozwolenie przechowania skarbów, ale nie wymienił osoby w któréj ręce mają być złożone na wypadek skonu. Owoż postanowił w końcu obrócić ów depozyt na chwałę bożą i wymurować kościół. Otworzył skrzynię, spieniężył klejnoty i rozpoczął fabrykę, którą ukończono w ciągu lat kilku. Stanęła więc wspaniała świątynia z podziwem wszystkich, którzy nie znając źródła czerpanego funduszu, wysławiali dowcip i zabiegłość przeora. Tymczasem Jan syn Gniewosza doszedł do pełnoletności i stara jego piastunka zgłosiła się do klasztoru w zamiarze wydobycia skarbów. Ale boleśnie zostali zdziwieni spadkobiercy Gniewosza i stara sługa, skoro skrzynia po roztworzeniu okazała się próżną. Zapytany przeor przyznał się, że uczynił użytek z deponowanych klejnotów na potrzeby klasztoru i kościoła, złudzony jakoby mniemaniem, że nie żyje już prawy spadkobierca. (Liber beneficiorum, III 471).

Przytoczyliśmy rzeczoną powieść, jako zawierającą rys nader charakterystyczny obyczajów ówczesnych. Nie rzadko spotykamy się z mężami jak Gniewosz, którzy nie dowierzają młodym żonom i ukrywają przed niemi nagromadzone pracą lub przemysłem skarby. Znajdujemy też w dyplomatach średniowiecznych niejednokrotnie czynione zapisy przez mężów na rzecz żon, pod warunkiem, że nie wstąpią po ich śmierci powtórnie w związki małżeńskie. Niekiedy pobożni bezdzietni mężowie, w skutek oświadczenia żon, że po ich skonie wstąpią do klasztoru, zapisywali na rzecz tychże majątki, ale pod warunkiem, że dopełnią zobowiązania i przywdzieją szatę zakonną. Rozumie się, że w tym razie przechodziły dobra na własność zakonu. *(d. n.)*

KORESPONDENCYA.

(Dokończenie. Ob. Nr. 21.)

Lwów w Marcu.

Hr. Henryk Łączyński, autor kilku sztuczek teatralnych mniéj niż mierněj wartości, napisał nową pod tyt. *Renegat*, przedstawioną w bieżącym miesiącu na tutejszéj scenie. Już to od niejakiego czasu zdaje się, jakby Lwów posiadał przywiléj wytwarzania lichych wyrobów dramatycznych, które na żadnéj innéj sceny repertuarze, nie śmiałyby się nigdy ukazać. Pobłażliwość w tym względzie dotychczasowego dyrektora teatru Miłaszewskiego, ostatnich dosięgła granic; ale dziwniejsza stokroć jest pobłażliwość publiczności, téj męczennicy branéj na tortury pięciu aktów zlepionych Bóg wie po jakiemu, bez świadomości rzeczy, bez znajomości sceny, bez pojęcia celów i warunków sztuki. *Renegat* ma to być dramat niby historyczny, treść nawet zaczerpnięta z epoki zajmującéj, nadawała się do pięknego dzieła, lecz wszystko to przepadło w nieudolnym ręku autora. Łączyński nie ma wyobrażenia, jak z tła historycznego wysnuć historyczne charaktery. Historyczność w *Renegacie* polega na kostiumach osób, kręcących się jak wertepowe, słomiane lalki bez życia i krwi. Autor

posługuje się zużytemi do znudzenia effektami i deklamacyami, mającemi zapewnić powodzenie sztuce, ale są to liche środki, nie mogące zastąpić nie udolnego rysunku i ożywić bezbarwnego obrazu.

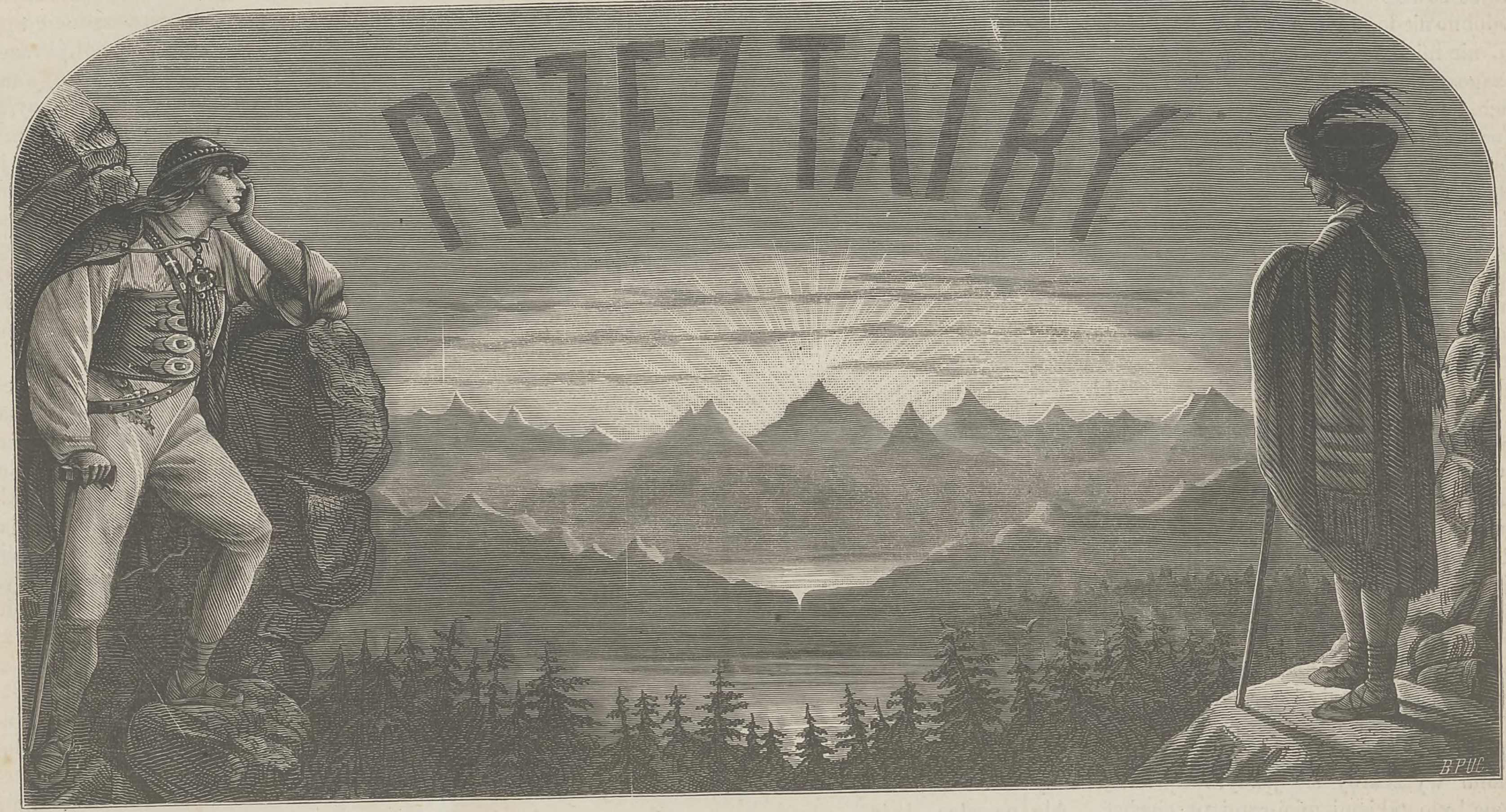
Teatr nasz wchodzi z Wielkąnocą w zupełnie nową epokę, o ile się zdaje, bardzo dla przyszłego rozwoju sceny pomyślną. Jak o tém obszerniéj w ostatnim liście doniosłem, ustępuje od Wielkiéjnocy pan Miłaszewski, dotychczasowy dyrektor obu teatrów polskiego i niemieckiego, albowiem z powodu zniesienia przywileju na teatr niemiecki, rozwiązany został kontrakt z nim szą, i tyle przedstawiającą korzyści tak dla przyszłości sceny jako też i dla zakładu Skarbkowskiego pod względem finansowym, albowiem towarzystwo ofiarowało rocznego czynszu za teatr 8,500 guldenów, gdy pan Niedzielski ofiarował tylko 1,000 guldenów, a hr. Cetner 2,000, iż nie byłoby trudności wyboru, gdyby nie ta okoliczność, iż towarzystwo akcyjne z powodu nagłości czasu nie było w stanie ukonstytuować się w tak krótkim terminie, uzyskać potwierdzenia statutów i uzupełnić kapitału akcyjnego. Chodziło zatem o danie administracyi Skarbkowskiéj dostatecznéj rękojmi do czasu ukonstytuowania się Towarzystwa; rozpoczęły się wtedy rokowania wydziału Towarzystwa z administracyą i kuratorem dla załatwienia kwestyi prawnéj i wynalezienia najwłaściwszéj formy wymaganéj rękojmi. Rokowania te skończyły się na tém, iż członkowie składający wydział założycieli Towarzystwa akcyjnego uzyskali teatr pod osobistą solidarną odpowiedzialnością, zawarowawszy sobie możność przelania prawa swego na Towarzystwo akcyjne, skoro Towarzystwo to ukonstytuuje się i po zatwierdzeniu statutów zbierze na akcye kapitał 20,000 guldenów. Aby działać tém skuteczniéj, założyciele weszli w porozumienie z p. Niedzielskim i przyjęli go do swego grona, poruczywszy mu zajęcie się utworzeniem opery i kierowaniem części muzykalnéj. Skutkiem tego wyjeżdża pan Niedzielski temi dniami za granicę, a mianowicie do Warszawy, dla angażowania śpiewaków do opery i wodewilu. Przystąpił także do grona założycieli nestor sceny naszéj, były artysta dramatyczny i dyrektor teatru Smochowski. Grono założycieli odpowiedzialnych tymczasowo za dyrekcyę składa się zatém z siedmiu osób; należą do niego mianowicie panowie: Waleryan Podlewski, prezes Towarzystwa Przyjaciół Sceny, Smochowski, Niedzielski, Andrzéj hr. Łoś, Dobrzański redaktor Gazety Narodowéj, adwokat Moszyński i Halski radny miasta Lwowa. Po ukonstytuowaniu się Towarzystwa założyciele pomienieni ustąpią miejsca radzie zawiadowczéj wybranéj przez walne zgromadzenie. Według statutów Towarzystwa ster kierownictwa sceny ma pozostawać w ręku rady artystycznéj, złożonéj z najznakomitszych literatów i artystów, co daje rękojmię, iż scena pod kierownictwem tak właściwych sędziów i znawców coraz się świetniéj będzie rozwijała iże na jéj repertuarze nie będziemy zdybywali się już z takiemi nędzotami tandetnemi jak *Renegat* Łączyńskiego.



TWARDA GĘŚ. Kopia z obrazu J. Gaissera. (100).

zawarty, a administracya fundacyi Skarbkowskiéj wydzierżawiła obecnie teatr na lat 6 drogą konkursów Towarzystwu Przyjaciół Sceny, które umyślnie w tym celu przeobraża się w towarzystwo akcyjne z kapitałem 25,000 guldenów. Walka konkursowa rozstrzygnięta temi dniami, była zacięta; współzawodnicy użyli wszelkich usiłowań, ażeby dojść do pożądanego celu. Było ich trzech, mianowicie towarzystwo akcyjne, hr. Cetner i p. Niedzielski, śpiewak opery, który oświadczył w swéj ofercie, iż głównem jego zadaniem jest utworzenie dobréj opery polskiéj we Lwowie. Konkurs odbył się drogą tajnych ofert. Oferta Towarzystwa okazała się najwyż-

---



OPIS WYCIECZKI ODBYTÉJ W LIPCU 1871 ROKU.

TEKST I ILLUSTRACYE, ANTONIEGO ZALEWSKIEGO.



Już po raz trzeci, zwiedzając wody Szczawnicy i Krynicy, przypatrywałem się tylko z dala cudownym Tatrom, jak Mojżesz ziemi obiecanéj, a zawsze jakby jakieś zaklęcie stawało mi na przeszkodzie do zapuszczenia się w ich wnętrze. Raz tylko, w 1869 r., w czasie krótkiéj wycieczki do Szmeksu, dotknąłem stopą urwistych stoków Łomnicy, ale wrażenie to pozostało mi tylko jakby zakosztowanie upragnionéj wycieczki, zaostrzając jedynie apetyt do bardziéj wyczerpującéj w samo wnętrze Tatrów podróży. Wróciwszy do miasta na zimowe leże, odczytywałem dzieła Fuchsa i Eliasza o Tatrach i robiłem projekta na przyszłe lato, które się znowu rozbijały o nieprzewidziane przeszkody. Nareszcie w 1871 roku, bawiąc w Szczawnicy, doczekałem upragnionéj od tak dawna pory. Było to w drugiéj połowie Lipca, pogoda, ta wszechwładna i kapryśna pani, główny tyran górskich wycieczek, zdawała się zapowiadać długi szereg dni jasnych, nie było żadnych przeszkód postronnych, zwerbowałem sobie miłego towarzysza w osobie młodego Bronisława K. i nająwszy wózek od sławnego szczawnickiego patryarchy starego Salomona, którego syn miał nam powozić, puściliśmy się do Zakopanego mając zamiar ułożyć tam dalszy plan kampanii po naradzie z miejscowymi przewodnikami. Zwykle wycieczki wózkowe po Tatrach do różnych miejsc dokąd dojechać można, nie nęciły nas wcale. Marzyliśmy o czémś nowém, trudném, heroiczném. Piesza wędrówka z Zakopanego przez sam środek Tatrów aż do Węgier, zwiedzając coby się po drodze zwiedzić dało, nęciła nas głównie. Fuchs w swojém dziełku „Die Central-Karpathen" i Eliasz w swoim illustrowanym „Przewodniku do Tatrów i Pienin wspominają o téj wycieczce jako o dość trudnéj wyprawie, ale to zachęcało jeszcze bardziéj „chciwe sławy animusze". Dla tych z czytelników, którym te strony są mniéj znane, powiem tutaj, że Tatry nie są żadnym długim a wązkim łańcuchem, gór jak naprzykład reszta Karpat oddzielająca Galicyę od Węgier. Tatry są wprawdzie częścią Karpat, a raczéj ich sercem, gniazdem z którego reszta systematów gór karpackich wypływa, stanowią one jednak oddzielną od nich całość. Jest to oddzielnie skupiona massa gór skalistych szeroka na mil około 4, długa na 8, różniąca się od reszty Karpat nieskończenie większą wysokością (najwyższe szczyty mają bowiem do 9,000 stop nad poziom morza) oraz wiecznym śniegiem którego się, z małemi wyjątkami, na innych górach łańcucha karpackiego nie spotyka.

Jechaliśmy znanym bitym gościńcem na Czorsztyn i daléj doliną Nowotarską wdłuż brzegów Dunajca; na lewo od nas wznosiła się przepyszna panorama Tatrów, które we spaniałym swoim majestacie zdawały się nam urągać jak olbrzymy pigmejczykom, to znowu wabić do siebie odsłaniając coraz to piękniejsze widoki. Około południa dojeżdżamy do Nowego Targu porządnie utrzęsieni i mocno zgłodniali. Wznosząca się na rynku gospoda z wielką pretensyą do nazwy hotelu, przyjmuje nas w otwarte bramy, wózek nasz niknie w ciemnych czeluściach stodoły a my wpadamy prosto do kuchni. Usłużni gospodarze obiecują nam natychmiastowy posiłek i wprowadzają do obszernéj sali gdzie niezbyt długo dręcząc nadzieją, ugaszczają wcale niezłym obiadem. Dowiedziawszy się o celu naszéj podróży, radzą nam zaopatrzyć się w różnego rodzaju wiktuały, przedstawiając nam Zakopane jako zapadłą krainę, gdzie niczego nie dostaniemy, i przyniosłszy kosz ogromny pakują doń butelki z winem, sery i wędlinę. W czasie obiadu przyjeżdżał młody doktor medycyny, Węgier, bawiący od niedawnego czasu w Zakopaném jako lekarz miejscowy, sprowadzony przez p. Eichborna, nowego nabywcę dóbr i kuźnic zakopańskich. Od niego się dowiadujemy, że pan Eichborn wprowadza tam wiele, ulepszeń zaczynając od dróg żwirowych, nowych machin i budowli, że już włożył i włożyć jeszcze zamyśla znaczny kapitał dla podniesienia kuźnic, ale że strona tycząca się upiększenia i wygody dla coraz liczniejszych gości, chyba w przyszłości zwróci jego uwagę. Opowiada nam, że turyści angielscy zaczynają się zjawiać w Zakopaném, że kilku ich bawi tam od niejakiego czasu zwiedzając okolice, a głównie zajmując się łowieniem pstrągów w blizkich potokach. „Nareszcie, myślę sobie, znudziliście się znaną Szwajcaryą i Pirenejami, zbadaliście wyczerpująco Himalaję i Kordyliery, i przypomnieliście sobie, że bliżéj daleko egzystują jakieś Tatry". Ale czas nagli, poczciwy nasz Jakób posilił się i odpoczął, koniki jego także, a droga jeszcze daleka i coraz będzie gorsza: przed zachodem słońca trzeba koniecznie stanąć w Zakopaném,—ruszamy.

Nie będę zajmował czytelnika historycznym opisem Nowego Targu, mając głównie na celu wycieczkę naszą przez Tatry, a i to zastrzegam sobie, że pisząc tylko proste wrażenia przelotne wycieczki, nie mam nawet pretensyi do żadnego wyczerpującego opisu pod żadnym względem. O Nowym Targu, téj małéj stolicy Podhala, powiem tylko, że miasteczko to różni się charakterystyką swoją od prawie wszystkich naszych miasteczek. Ludność jego oprócz „intelligencyi"

to jest: urzędników, professorów i kupców, stanowią przeważnie górale; równouprawnieni bracia Mojżeszowego wyznania do niedawnego czasu podobno niedopuszczani do pobytu w NowymTargu, nie mieli jeszcze czasu rozgościć się w niém i zagospodarzyć jak w innych naszych miasteczkach, liczba ich wynosi 200 na blizko cztero-tysięczną ludność, co jest prawie niesłychaną u nas proporcyą. Ze szkółek idą tłumnie do domów małe góralęta w burych z czerwonemi sznurkami guńkach, w góralskich szerokich kapeluszach, a z książkami pod pachą co dość dziwny kontrast stanowi. Rynek, jak zwykle, formuje ogromny kwadrat w środku miasteczka, wdłuż domów ciągną się chodniki z ogromnych płaskich a nie foremnych głazów; około rynku domy murowane zresztą w uliczkach drewniane góralskie chatki. Ogólny pozór miasteczka skromny, biedny, ale czysty.

Od Nowego targu do Zakopanego już nie ma bitéj drogi. Jechaliśmy ciągle brzegami Białego Dunajca (który pod Nowym Targiem łączy się z Czarnym i odtąd już nosi ogólną nazwę „Dunajca"), z powodu braku mostów niedawną powodzią zniesionych, przeprawiając się kilka razy wbród przez tę rzekę, zjeżdżając w nią jak z pieca na łeb, jadąc nieraz samą rzeką czas długi wśród rwącéj wody i ogromnych głazów i gramoląc się znowu na brzeg przeciwległy, po tak spadzistych urwiskach, że na ich widok woźnica z dolin wyrzekłby się jazdy, nie wierząc żeby można było takiemi miejscami przejechać. Ale nasze małe góralskie konięta najfilozoficzniéj i bez wahania drapały się jak koty po tych przeprawach i wózek wszędzie się przesunął. Przejeżdżaliśmy wsi, Szuflary, Biały Dunajec i Poronin, a raczéj jechaliśmy ciągle temi wsiami, gdyż zaledwie się jedna kończy, druga się zaczyna; niektóre z nich mają więcéj mili długości. Tak się zwykle w górach dzieje, gdzie się lud skupia w doliny nadrzeczne, korzystając z jedynych miejsc gdzie jest trochę równiéj i grunta urodzajne na ogrody i pola. Wioski te są prześliczne, na stromych brzegach Dunajca rozrzucone, domki malowniczéj góralskiéj architektury, łany wśród zieleni sadów i bujnéj wegetacyi ogrodów. Wstępowaliśmy do niektórych dziedzińczyk zwykle ozdobny i zamczysty bramą zupełnie od ulicy zasłoniony, ogromnemi płytami głazów wyłożony, otoczony skupionemi gospodarskiemi budynkami; w środku piękna studzienka z windą i okutém wiadrem do czerpania kryształowéj górskiéj wody. Wszędzie schludnie i czysto, lud grzeczny, ochoczy, i gościnny.

Słońce już zachodziło, gdyśmy dojeżdżali do Zakopanego. Widok tego miejsca nie odpowiedział wyobrażeniu jakiem sobie zawczasu o niém czynił. Uważając z położenia jego na mappie jako ostatniego zamieszkanego miejsca w górach, a nawet z samego nazwiska, myślałem że wygląda istotnie jak „Zakopane" w jakimś ciasnym wąwozie pomiędzy górami. Tymczasem jest to dolina, wysoka wprawdzie bo 2600 st. nad poziom morza położona, ale szeroko i płasko rozciągająca się u podnóża olbrzymiego Giewonta, który wznosi się opodal jak olbrzymia ława granitowa ale gdyby nie Giewont z płatami śniegu na szczytach, myślałbyś że to zwykła wieś w dolinach wśród szerokiéj równiny położona. Nasz Jakób zamierzał zajechać na nocleg do znajomego mu sławnego przewodnika Sieczki, gdzie nam obiecywał czyste i wygodne pomieszkanie; cieszyliśmy się z tego zawczasu, bobyśmy u naszego gospodarza byli u źródła potrzebnych nam wiadomości. Tymczasem inaczéj się stało; mieszkania u Sieczki były wszystkie zajęte, a samego Sieczki nie było w domu. Co gorsza, powiedziano nam że wyszedł na polowanie i to z Walą z którym podziela sławę najlepszego w Tatrach przewodnika, i z Tatarem młodym góralem kształcącym się na ich wzorach i wstępującym w ich ślady, i że nie wrócą aż chyba nazajutrz i to nie rano.

Dość kwaśno przyjęliśmy tę wiadomość, mieliśmy bowiem perspektywę pozostania nie wiedzieć jak długo w bezczynności i niewiadomości co do dalszych obrotów naszych.

Ale trzeba było przedewszystkiém myśléć o noclegu. Pozostawała nam jedyna w Zakopanem austerya czyli dom Krzeptowskiego, w którym było aż trzy pokoje gościnne, a jeden z nich „na salce" szczęściem naszém wakujący, zajęliśmy natychmiast, Jakóba zaś z końmi odesłaliśmy do karczmy, bo dom Krzeptowskiego jest to rodzaj „Chambres garnies" bez pomieszczenia dla koni i wozów. Domek zresztą dość kształtny i świeżo postawiony nęcił nas swoją powierzchownością; na dole mieścił się jedyny w Zakopaném magazyn, gdzie znajdowałeś najróżnorodniejsze towary zdziwione, że się po raz pierwszy spotkały, od soli i śledzi, do chustek, perkali i tasiemek, od kawy i herbaty, do paciórek i fajek góralskich.

Zatrważało nas wprawdzie trochę, że dom, równie jak magazyn dzierżawionym był przez żyda, ale pocieszaliśmy się myślą, że nie miał jeszcze czasu należycie go zaniedbać, zresztą nie było w czém wybierać.

Ulokowawszy się na prędce w naszéj izdebce na salce, któréj świeże sosnowe ściany zapowiadały przynajmniéj czyste nowe schronienie, poszliśmy przejść się nieco po wsi, i usiadłszy na klocach drzewa na małym placyku przed kościołkiem i plebanią, wdaliśmy się w gawędę z góralami. Zabraliśmy znajomość z jednym z nich który jak się pokazało, był zakrystyanem; ten pocieszał nas w utrapieniu z nieobecności Wali i Sieczki, twierdząc, że on sam jest doskonałym przewodnikiem i wszędzie nas zaprowadzi gdzie zechcemy. Nie bardzo mu dowierzając co do naszéj dalszéj ekspedycyi, postanowiliśmy jednak użyć następnego dnia dla zwiedzenia doliny Kościeliskiéj, do czego nam i zakrystyan mógł wystarczyć, gdyż miejsce to jest blizkiém i niebezpieczeństwa ani błędnéj drogi nie przedstawia; do opisania zaś miejscowości wystarczał nam wyborny „Przewodnik illustrowany" Eliasza. Umówiwszy się więc z zakrystyanem na jutrzejszy ranek, udaliśmy się do naszéj austeryi na wieczerzę i spoczynek. Wieczerza złożona z wyborných kurcząt, dobrze nam też smakowała, ale przysłowie: „wieczerza hojna, noc niespokojna," fatalnie miało się na noc sprawdzić. — Jeszcze ze mną pół biedy, strudzony trzęską na wózku podróżą, spałem tak mocno, że krwiożercze a płaskie wampiry daremnie się nademną znęcały; ale biedny mój towarzysz, mniéj twardym snem od natury obdarzony, przebył noc w mężnéj i okropnéj walce, w któréj pobity na głowę, zmuszony był do odwrotu na środek pokoju, gdzie obrawszy bardziéj obronne stanowisko, legł na podłodze, a zrobiwszy sobie posłanie z płaszczów i szalów, resztę nocy jako tako spędził. Takem go ujrzał obudziwszy się nazajutrz rano i słuchałem ze współczuciem smutnéj powieści o okropnych jego losach. Pokazało się więc, że jakkolwiek był nowym dom Krzeptowskiego, pasożytne plemię owadów zajęło go jednocześnie z upodobanym mu wybranym ludem Izraela i zamieniło w zbójecką jaskinię, gdzie nieszczęśni podróżni wystawieni byli na mięsne jatki.

Ubrawszy się prędko siedliśmy na wózek z zakrystyanem, i nie zważając na grożące deszczem niebo, puściliśmy się ku dolinie Kościeliskiéj; ale zaledwie ujechaliśmy małe ćwierć mili, obrywają się chmury i gwałtowna powódź się rozpoczyna. Postrzegamy na prawo jakieś porządne gospodarskie zabudowanie, skręcamy w dół, i razem z potokiem wody wjeżdżamy, a raczéj wpływamy na jakiś dziedziniec, i oblani wodą kryjemy się pod dach domostwa. Poczciwa gospodyni zaprasza nas do dużéj i porządnéj izby; synowie jéj mimo ulewy wybiegają dać przytułek naszemu woźnicy i koniom, ona sama roznieca suty ogień, i dowiadujemy się, że jesteśmy we młynie Krzeptowskiego, właściciela austeryi, w któréj mieszkaliśmy w Zakopanem, a którego mieliśmy zamiar bez tego odwiedzić jako jedną ze znakomitości zakopańskich.

Krzeptowski jest, jak mówią Anglicy, „a self taught genius," czyli po naszemu genialny samouk. Jest on głównie młynarzem, a młyn sam postawił, i cieślą, i stolarzem, i kowalem, i ślusarzem; bo tak sama gospoda jak i wszystkie w niéj meble, a także zamki i okucia były własnéj jego roboty; był także i gospodarzem wiejskim, i właśnie wtenczas nie był w domu, gdyż budował się na jakimś swoim wiejskim zaścianku. Ale co nas najwięcéj interessowało, to, że był w swoim rodzaju artystą. Jego to roboty są te śliczne stalowe toporki, które niejeden turysta przywozi jako pamiątkę z Zakopanego, tak gustowne, tak pracowicie w twardéj stali cyzelowane w kształcie głów orlich na obuszku, z rytemi na płaskiéj przestrzeni toporka widokami gór i polowaniami na kozice i z napisem zawsze tym samym: „Pamiątka z gór Tatr." Parę ich było w robocie na skromnym u okna warsztaciku, gdzie się te małe arcydzieła wyrabiają. Jeden tylko gotowy i co rzecz rzadka, niezamówiony, bo roboty Krzeptowskiego są tak poszukiwane, iż nieraz na nie długo czekać przychodzi. Gotowy ustąpiła pani Krzeptowska mojemu towarzyszowi i opowiadała nam, że mąż jéj posłał niedawno N. P. cesarzowi Franciszkowi Józefowi piękny toporek swojéj roboty, za co otrzymał hojny podarunek, bo sto złotych reńskich. Jeśli mówię hojny, to w stosunku do zwykłych skromnych cen tych wyrobów (od 5 do 8 zlr.), bo istotnie te piękne toporki, zważywszy warunki ich wykonania, są nieocenionéj wartości. Żałowaliśmy żeśmy samego artysty w domu nie znaleźli, aleśmy się pocieszali rozmową z jego rodziną. Pani Krzeptowska, matka około dziesięciorga dzieci, z których starsze więcéj 20 lat wieku liczyły, była jeszcze piękną na swój wiek matroną i na jéj szlachetnych rysach malowała się ujmująca dobroć i rozsądek: Rodzina jéj — chłopaki jak dęby, dzieweczki jak kwiatki; porządek, czystość i jakaś patryarchalność téj poczciwéj góralskiéj rodziny zachwycały nas prawdziwie. Starsze ich dzieci były już na własnym chlebie, najstarszy skończył był gimnazyum w Krakowie i miał miejsce nauczyciela w królestwie. Nierzadka to rzecz w Tatrach, gdzie górale mają taką żądzę nauki, że z młodego mianowicie pokolenia mnóstwo ich wychodzi na księży, a niejeden znakomity professor lub adwokat i dużo różnéj uczonéj professyi ludzi, z górali tatrzańskich pochodzi. Niejeden skończywszy kilka klass, a nawet i całe gimnazyum, wraca do gospodarstwa i przywdziewa napowrót strój góralski; ztąd też widzimy u nich wójtów i urzędników gminnych, zarazem praktycznych i ukształconych. Ile zaś wpływu na ten lud wywiera duchowieństwo, będące krwią z krwi i kością z kości tego samego ludu, tego w rozmowach naszych z góralami sami byliśmy świadkami. Żałowaliśmy, że się nam nie udało z powodu krótkiego tam pobytu poznać zacnego proboszcza w Zakopanem, ks. Stolarczyka; byli-

śmy u niego, aleśmy go w domu nie zastali, nie-mieliśmy zaś czasu powtórzyć wizyty, aleśmy spotkali wszędzie pełne czci o nim wspomnienie i ślad zbawiennego jego wpływu na lud okoliczny.

Tymczasem deszcz ustawał, niebo się rozjaśniało, i podziękowawszy zacnéj pani Krzeptowskiéj za gościnność, ruszyliśmy w drogę i stanęliśmy wkrótce u wrót tego raju, który się doliną Kościeliską nazywa. *(d. c. n.)*

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 21).

Przy łożu umierającego, uczucia, stosunki, plany i myśli, zmieniło się wszystko... Rozgniewana kobieta ustąpiła miejsca żonie, która czuła się w obowiązku dotrwać przy nieszczęśliwym do końca...

Oddano najlepsze łoże nieprzytomnemu i nieotwierającemu już oczu Zygmuntowi... którego ranę na nowo płynącą krwią opatrzył raz jeszcze lekarz. Rana, utrata krwi, boleść odjęły mu przytomność, tak, że mało dawał życia znaków... niekiedy tylko otwierał oczy, które nie zdawały się widzieć i rozpoznawać przedmiotów, i powieki ociężałe opadały znowu, jakby do snu wiekuistego. Twarz jego miała już tę bladą, trupią powłokę, którą śmierć nakłada na człowieka... a jednak życia iskierka tlała w nim jeszcze... i z nią nadziei iskierka.

Lekarz przepisał wszystko, co przy rannym zachować należało... zostawił do pomocy umiejętnego felczera i popatrzywszy z ciekawością na twarz Elżuni, która wyglądała teraz ze swą pięknością jak starożytna głowa Meduzy—odszedł. Został ks. Brzeski czekając chwili gdy sił i życia powróci tyle, ażeby mógł odchodzącego wędrowca na podróż ostatnią opatrzyć pociechy słowem i przejednania. Elżusia siadła w nogach przy łożu i pozostała na straży—stryj Eligi ze zdumieniem i pokorą kręcił się tylko około progu drugiéj izby—nie śmiąc wejść a w duszy narzekając już na dobrowolnie kupiony przez synowicę kłopot, jaki z trupem mieć musieli. Dziemba siadł przy progu i płakał cicho... Cisza, zwiastunku chwili ostatniéj... zaległa mieszkanie, którego okna pozasłaniano od światła. Co kilka minut felczer przychodził badać zaledwie czuć się dający puls rannego i słuchać jego oddechu... oczekując rychłego rozwiązania, które się zdawało nieuchronném.

Jednakże aż do nocy życie w nim tlało... a lekarz, który nadszedł i dość zdziwiony znalazł jeszcze dyszącym Zygmunta, choć nadzieję miał małą, aby coś pomódz mogło, na nowo ranę opatrzyć i w usta coś wlać kazał. Po przyjęciu tego napoju kilku ruchami zwiastował się jakby jakiś powrót do czucia i życia: chory westchnął: usta otworzył, oczy kilka razy zwrócił na przytomnych i zwolna usypiać zaczął.

Doktor Szwarc zasiadł przy łożu, więcéj się pewno zajmując fenomenem téj siły żywotnéj niżeli samym chorym; widoczna było, iż zamierzał probować, ażaliby mu się nie udało ocalić rannego... posyłał po nowe leki i sam dłużéj niż zamierzył, pozostał rozmyślając... Wśród głębokiéj ciszy, powtórzono lekarstwo i czekano skutku... a skutkiem tym był tylko głęboki sen dosyć spokojny, z silniejszym nieco pulsem i oddechem.

Tak przebyto noc całą... Stryj Eligi, który umierających nie lubił, a umarłych się nawet obawiał, późno już wyszedł nieco orzeźwić się świeżém powietrzem. Niedaleko od bramy zastał jakby na czatach stojących Trzaskę i Borodzicza, którym rad był serdecznie. Podszedł więc do nich, i razem pociągnęli naprzeciwko do winiarni... Tamci chcieli się dowiedzieć o Piętce i saméj pani, a Eligi potrzebował poskarżyć się na dolę swoją. Trzaska mimo okrutnéj rany, którą mu zalepiono i zabandażowano, ani w łóżku ani w domu wytrwać nie mógł. Palił go niepokój jakiś.

— No cóż się u was dzieje? zapytał Borodzicz—żyje?

— A żyje! a żyje! i teraz moja synowica siedzi przy nim tak pilno strzegąc poruszenia każdego, jakby wczoraj sobie z nim oczu wydrzeć nie chcieli! No! niechże tu kto babę zrozumie! Ale—to z tego wszystkiego nic nie będzie! daremna rzecz! lada moment skona! życia odrobina się w nim ledwie kołacze... Dopieroż miła sprawa z trupem w domu!

Trzaska jęknął, biorąc się za bok...

— Wszystko—rzekł—dziwowiska i przygody osobliwe!

— Osobliwe, dodał Borodzicz... I cośmy się mieli pozbyć trutnia, to mu przebaczenie pono wyrobimy...

— A jeśli pociągnie—mówił Eligi—jeszcze gorzéj... bo nas wymęczy... wynudzi, a żyć nie może—to darmo, kiedy mu kula prześwidrowała wnętrzności na wylot!

— Ba! ba! rzekł Borodzicz — na złość nam wszystkim może się wyskrobać. Natura twarda, dusza siedzi w nim mocno...

— Krwi tyle uszło! mruknął Eligi...

— Widziałem ja nie takie wypadki... dodał Borodzicz—gdy kto na świecie dokuczliwy a nie potrzebny, pewnie życia mu przedłuży los!..

— Wojewoda powiada że nie może żyć! począł Eligi, — doktor głową kiwa bardzo... nie może żyć! byle tylko nocą nie umarł, żeby przy trupie nie siedzieć!

Pomruczeli tak czas jakiś—Borodzicz ze stryjem napili się po szklance wina i rozeszli.

W całém mieście wypadek stając się głośnym, niemałe uczynił wrażenie; król go sobie ze szczegółami wojewodzie opowiedzieć kazał... i posłał pod wieczór z kondolencyą do p. Piętkowéj, za co stryj Eligi zapłacić musiał, bo posłańcy tego rodzaju darmo nie przychodzą. Dowiedziano się i w teatrze o śmierci Zygmunta, bo wszyscy pewni byli, że téj nocy dokończy. Duparc załamała ręce, pokiwała głową i za cały nekrolog wyrzekła po cichu: *Il n'avait plus le sous...* Smutno jéj jednak tak było tego wieczoru, że musiała wesołego szukać towarzystwa, aby czarną melancholię rozproszyć.

Na dworze ubolewano iż się piękna pani, o któréj król po kilkakroć wspominał nie rychło pewnie pokazać będzie mogła. Lecz tu także nieobecni łatwo się zapominają, a właśnie pani de Watedorff, przyjaciołka i powiernica N. Pana, wprowadziła nową piękność dla rozerwania i nudów i zabawy Augusta II.—A król tego wieczoru nią był cały zajęty. Wojewoda tylko zachował dłużéj w pamięci piękną swą sąsiadkę, i karły jego co godzina biegały się dowiadywać co się u Piętków dzieje.

Przez całą noc chory był jednakowo, przeżył do rana, doktor Szwarc który przysłał się dowiedzieć także, dostawszy wiadomość, iż p. Zygmunt żył, sam do niego nadciągnął z nowemi lekami. Było znowu polepszenia trochę, zaczęto karmić bulionem chorego, wlewając po łyżeczce w usta... Pokrzepiło go to widocznie... lecz senność trwała ciągle.

Ku południowi otworzył oczy, trochę krwi przez pożółkłą przeglądało skórę, usta się zarumieniły... Chciał coś mówić—lecz doktor Szwarc pod karą śmierci zakazał najmniejszego wysiłku i polecił jak najsurowiéj milczenie. Elżusia stojąca ciągle przy łożu, pilnowała spełnienia przepisów Szwarca..

Stryj Eligi, który dla uwolnienia się co rychléj od trupa, już miał wcześnie trumnę zamówić, powstrzymał się od pośpiechu—lękając, aby mu niepotrzebny sprzęt nie pozostał na jego rachunek...

Druga noc przeszła zwiększając prawdopodobieństwo jeśli nie utrzymania przy życiu Zygmunta, to przeciągnienia resztek jego... Z każdym następnym dniem późniéj rosło podziwienie wszystkich, a radość doktora Szwarca, który sobie to cudowne ocalenie przypisywał, utrzymując, że wyjęciem kuli życie Piętce przywrócił. Przez cały ten czas Elżusia nie opuściła prawie na chwilę łoża męża, który widział ją, poznał, zdawał się nadzwyczaj zdziwiony, ale że mu pytać i mówić nie pozwalano — milczeć musiał. Oczyma tylko każdy ruch i wejrzenie żony śledził. Z razu prawie rozrzewniona i czuła a zabiegliwa, Elżusia okazywała dla chorego troskliwość nadzwyczajną — w miarę jednak jak do sił po trosze przychodzić zaczął, chociaż nie rzuciła go, ostygała widocznie. Spełniała obowiązek, nic więcéj nad to...

W duszy Zygmusia odbywać się musiało dziwne jakieś odrodzenie i zmiana uczuć, którą tylko oczy zdradzały. Szukał jéj niemi, bez gniewu, owszem jakby prosząc przebaczenia, złagodniał, upadł na duchu i na ukradkowe pytania Dziemby, który korzystając z chwilowéj niebytności pani, przyskakiwał kilkakroć ku niemu, odpowiadać nie chciał. Dziesięć dni spłynęło na takiém milczącém opatrywaniu chorego, przychodzącego do sił powoli... Lekarz już nie przestrzegał milczenia, wzruszeń tylko lękać się kazał. Zygmunt odzywał się krótkiemi słowy do służby, ani on jednak do żony, ani ona nie przemówiła do niego.

Stryj Eligi przychodził czasami, stawał naprzeciw łoża, patrzał na Piętkę i głową kiwał. Gniewało go przecię, że trutnia ocalono; a był za tém ażeby, gdy cokolwiek do zdrowia przyjdzie, wysłać go z Dziembą na kwaterę własną. Z synowicą rozmówić się otwarcie nie śmiał, zagadnąć ją próbował, lecz że... milczała—nie nacierał. Codziennie Trzaska i Borodzicz przychodzili do winiarni, gdzie stryj do nich się wymknąwszy, opowiadał o stanie chorego.

— Nie ma wątpliwości, rzekł Borodzicz jednego z ostatnich dni drugiego tygodnia: że p. Zygmunt wyżyje. Jeśli dotąd nie poszedł *ad patres* nie będzie mu nic... Ale cóż jejmość myśli — stryjaszku?

— Albożja wiem? albo ja ją rozumiem? albo to kiedy mężczyzna kobietę odgadł? mówił stryj. Nie mówi nic... Z razu chodziła bardzo pilnie koło niego, teraz naglądа tylko. Wiem to, że ją raz próbował pocałować w rękę, i że mu wyszarpnęła i uszła. Nie gada do niego nic, a na zapytania odpowiada tylko gdy konieczna wymaga potrzeba... Któż tu ją zgadnie!

— Ona mu teraz wszystko przebaczyć gotowa! dodał Borodzicz.

Stryj głową pokiwał... przecząco.

— Dobrzeby tylko było, rzekł, żeby się to raz czy tak czy owak skończyło!.. dałbym na mszę świętą z własnéj kieszeni.

— I ja też westchnął Borodzicz...

Trzaska jeszcze swą ranę upartą leczył, ale nie wiedząc po coby tu dłużéj siedział, a lękając się aby stolnikowa nie była o niego niespokojną, powoli o odwrocie zamyślał. Wojewoda, który kilka razy nawiedzał Piętków, upartszy nieco, pobyt swój, bodaj dla pięknych oczu przeciągał wzdychając...

Jednego dnia, gdy już Zygmunt coraz się lepiéj mieć poczynał, i na łożu mógł siedzieć, a choć blady i wątły, powracał widocznie do życia -- pani Elżbieta stała o podal z książką... byli sami... zdało mu się, że rozmowę zawiązać potrafi.

— Wszakże mi mówić wolno? zapytał...

Żona spojrzała nań i nie odpowiedziała mu nic.

— Chcesz czego? rzekła po długiém milczeniu.

— Chciałbym — chciałbym pomówić...

— Lepiéj jest wstrzymać się od tego — przerwała kobieta — doktór się każe wystrzegać...

— Ależ to zawsze trwać nie może! ja się czuję dosyć silnym... Cóż daléj z nami będzie?

— Z nami? spytała Elżbieta — jakto z nami? Myśl co poczniesz z sobą—ja o sobie pomyślę...

— Przecież Elżunia, która mnie nie opuściła umierającego, nie opuści przychodzącego do zdrowia...

— Dopóki pomocy i opieki potrzebować będziesz, rzekła spokojnie Elżbieta.

— No — a potém?

— A potém—zobaczymy—cicho dodała Elżunia; — to jednak dziś powiedzieć ci muszę, iż o życiu z sobą mowy być nie może.

— Dla czego?..

— Dla tego, że ja litość dla ciebie mam, ale miłości ku tobie i szacunku, nie—bo ci nie wierzę.

Zygmunt zamilkł.

— Toć przecież ukarany zostałem — odezwał się, — a nikogo dwakroć nie karzą!

— Nie będzie to dla ciebie karą—przerwała Elżunia,—ja do rodziców powrócę—a żyć z tobą nie mogę.

— Ale cóżem ja popełnił za zbrodnię?

— Nie mówmy — dość i tak na dziś — zakończyła Elżusia;—ja nie odpowiadam więcéj.

Zygmunt zsunął się na poduszki i zamilkł, ale nazajutrz wypatrzywszy chwilę, począł znowu:

— Elżusia przebaczy?

Nie było na to odpowiedzi.

W parę dni potém lekarz widząc znaczne polepszenie, pozwolił wstać i nieco się przechadzać... Widząc, że życia jest pewien a starań już niepotrzebuje, Elżusia zawołała stryja do bocznego pokoju.

— Kochany stryju, rzekła—powinieneś mi dopomódz i od przykrego mnie obowiązku uwolnić.

— A cóż tam? co?

— Zygmunt jest zdrowszy, należy mu oznajmić, aby sobie mieszkania innego szukał.

— Hę? spytał stryj—a to po co?

— Bo ja go tu nie chcę mieć.

— A jakże będzie? zapytał znowu zdumiony p. Eligi, a po części zgorszony.

— Jak będzie? — niech sobie idzie czy jedzie gdzie mu się podoba... a my wrócimy do Wulki...

— A daléj?

— Ja zostanę przy rodzicach...

Eligi ręce obie podniósł do góry.



Wyjazd wózkiem góralskim. (101).

— Co tobie jest? a tożeś go pielęgnowała, rozpadała się, ratowała... przebaczyła.

— Ja? przebaczyłam? kiedy? oburzyła się pani Zygmuntowa. Jam nie przebaczyła i nie przebaczę. Spełniłam powinność chrześciańską, tém większą, że człowiek ten był mężem moim,... ale na tém koniec—tego dość. On moim mężem nie będzie.

Osłupiał pan Eligi...



B r ó d. (102).

— Pan mu to powiedz jak chcesz, dodała—ażeby coś z sobą myślał; a nie, to ja się ztąd wynoszę.

— Jakże ja mu to powiem?

— Tak jak ja to wam mówię...

Poskrobał się w głowę stary.

— Wpadłem dopiero w labety! zawołał — otom wpadł! A! gdybym był mógł przeczuć to wyjeżdżając...

Ledwie tych słów domawiał, ręka pani Zygmuntowéj sparła się na jego dłoniach.

— Dość, rzekła surowo—dość—niepotrzeba już nic.

I wyszła do pierwszéj izby, w któréj Zygmunt siedział przy oknie. (*d. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dzieła Platona, tom drugi zawierający *Prawa*. — Zeszyt pierwszy. Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. — Wrocław, 1871 roku.

Wielki ten idealista, Plato, w rozmaitych rozmowach swych, a najwyraźniéj w *Państwie* (ks. VI i VII), stawia pojęcie dobra na szczycie świata równie moralnego jako i intellektualnego; i z tem to pojęciem absolutnem, wiekuistem i wiekuiście pięknem, łączy pojęcie sprawiedliwości. — Ale stawia on zaraz różnicę pomiędzy sprawiedliwością w porządku natury i sprawiedliwością w porządku prawa, czyli uczucia moralnego. Trafność, dotąd niezbita, jego rozróżnienia, polega na tém, że sprawiedliwość według natury nie jest sprawiedliwością prawdziwą, gdyż miesza ona moralność z siłą a dobro z użyciem, upoważnia i uświęca nierówność i ucisk. Prawdziwa sprawiedliwość nie jest stworzoną ani ustawami ludzkiemi zdeterminowaną; nie jest ona, jak utrzymywali sofiści, opinią zmieniającą się przypadkiem według czasów i miejsc: ona to, przeciwnie, stanowi zasadę praw ludzkich i przez nie się objawia. Prawdziwa sprawiedliwość nie czyni człowieka środkowym punktem wszech rzeczy, ale owszem podporządkowywa go jako część pod całość.

Cokolwiekbądź arbitralnego i niedokładnego upatrywalibyśmy dziś w tym podziale i charakterystyce, to pewna, że i najpozytywniejszy duch umiejętności, by zjednać szacunek dla praw, musi nieodzownie wyjść z pewnych danych, które uważa za absolutne, a więc takie, na które zgodzi się rozum powszechny; czyli że twórcą ich i sędzią ich wartości nie kto inny będzie tylko rozum, tenże sam rozum który zarówno waży fenomena natury jako i objawy społeczne, duchowe, rodziny ludzkiéj. Czyli, jak powiada Platon: — „Do tychże wszystkich ma jeszcze każdy rozpoznanie tego, które z nich lepsze lub gorsze: to stawszy się *wspólnem* Miasta *przekonaniem*, przezwanie *prawa* przybiera (1)."

Ta teoretyczna sprawiedliwość Platona, w praktycznem rozwinięciu przychodzi jednak do ważnych niekonsekwencyi. — Przedewszystkiem ma ona dwie formy: jest osobistą lub społeczną, czyli prywatną albo publiczną, i ten nowy podział prowadzi nas wprost do polityki greckiego filozofa.

(1) *Prawa*.— str. 31: przekład Bronikowskiego.

(*Dokończenie w dodatku.*)

Do niniejszego Numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 22-go.

I otoż znowu, w Platonie, widzimy dwie teorye polityczne. Jedna z nich idealna, absolutna, w *Państwie*; druga więcéj pojednawcza i praktyczniejsza, w *Prawach*. Ta druga wreszcie jest tylko pewną przeróbką pierwszéj, ale na tych samych podstawach głównych opartą.

Państwo, według niego, ma punkt wyjścia we wzajemnych potrzebach ludzkich, i nasamprzód tworzą się dwie klassy ludzi: rolnicy i rękodzielnicy; do tych dwóch klass przybywają niebawem dwie drugie, to jest: wojownicy, którzy osłaniają Państwo, i urzędnicy, którzy niem rządzą. Dwóch niższych klass obowiązkiem jest praca i posłuszeństwo; zdaje się, że niewielką one zwracają na siebie uwagę naszego idealisty, Platon bowiem, właściwie mówiąc, zajmuje się głównie wojownikami i urzędnikami, a o pracy ręcznéj często wyraża się pogardliwie.—„....Tak zapatrywać się na prawa nadane polecił, żeby wszystkie inne posiadłości czy zajęcia, *żadnego nie miały waloru jeżeli w boju nie będziesz panem*, a znowu żeby wszystkie dobra pokonanych własnością stawały się zwycięzcy [1]". — W innėm zaś miejscu, pojęcie wychowania obywatelskiego najdoskonalszego określa w ten sposób:— „Teraz bowiem, to karząc, to wychwalając wychowanie pojedynczych, tego z naszych wykształconym, tamtego niewykształconym zowiemy; nawet ludziom w *przekupniarstwie lub w żeglarstwie lub w innych takowych zręcznościach* biegłym, nader niekiedy znaczne wykształcenie przyznajemy. Nie tak tu atoli, jak się zdaje, istotę wykształcenia rozumiejących wywód obecny wskazuje, lecz raczéj uważających za takie, — wychowanie od dziecka do cnoty, sprawiające ucznia pożądającym i upragnionym aby doskonałym w przyszłości został obywatelem, *umiejącym rządzić i być rządzonym ze sprawiedliwością*. Tak oto zakreślone wychowanie mowa obecna, jak się zdaje, chciałaby ażeby jedynie nazywano wykształceniem;— owo zaś do zarobkowania dążące, albo do nabycia siły jakiéj lub innéj biegłości bez umu i sprawiedliwości, (chce ona) ażeby *warsztatowem, niewolniczem i niegodnem zgoła zwać się wykształceniem mienio-no* [2]."

Zadaniem wojowników, według Platona, jest bić nieprzyjaciela nazewnątrz i tłumić bunty wewnętrzne. Ażeby sprostali temu zadaniu winni posiadać niepospolite męztwo, ale męztwo to musi być połączone z łagodnością, ażeby nie przyszła im ochota zwrócić przeciw samym sobie i przeciw swym współobywatelom broni przeznaczonéj jedynie przeciw nieprzyjacielowi. To połączenie przymiotów przeciwnych, siły z łagodnością, nie inaczéj osiągnąć się da tylko przez wychowanie umiejętnie zespalające dwie najważniejsze części edukacyi starożytnych: muzykę z gimnastyką.

Co do urzędników zaś, wychowanie ich powinno być przedewszystkiem filozoficzne. Jakoż wtedy dopiero ludy doczekają się końca trapiących je klęsk, kiedy naczelnicy rządu staną się filozofami, albo kiedy ster rządu wezmą w ręce filozofowie: filozof bowiem zna pojęcie dobra i sprawiedliwości; a jeżeli jest prawdziwym filozofem, nietylko z pozoru, nie dość mu je znać, ale wprowadzać je będzie w czyn. Tym oto sposobem tworzą się urzędnicy [3]; i takie są zasady platonowego dzieła o Państwie.

(1) *Prawa*; str. 3 przekład Bronikowskiego.

(2) Respublica;— Passim.

(3) *Prawa*. — str. 29, 30.

Państwo to, tak ustanowione, zawiera wszystkie cnoty, jakich na innych miejscach wymaga Platon od jednostki: roztropność, jako przymiot urzędnika; męztwo, jako przymiot wojowników; wstrzemięźliwość, która polega na poddaniu się klass tych co powinny słuchać pod zawiadywanie tym klassom, które rozkazują; nareszcie sprawiedliwość, czyli ścisłe każdéj klassy spełnienie tych obowiązków jakie na nią przypadają i harmonijne dążenie wszystkich do jednego celu. Jedność jest ostatniem prawem Państw, ich dobrem prawdziwem. Ale jedność napotyka dwie nieprzełamane przeszkody: własność i rodzinę; z własności powstają processa, zazdrości, walka między zamożnością i ubóstwem;— z rodziny, wyrasta znowu niepoprawny egoizm. Ażeby urzeczywistnić jedność, potrzeba znieść te dwa pierwiastki rozdziału i nieprzyjaźni. Wszystko powinno być wspólne: dobra, kobiety, dzieci; i otoż Plato występuje przed nami jako pierwszy teoretyczny kommunista na świecie, poprzednik Saint-Simona i Cabeta. Taką w saméj rzeczy jest polityczna teorya jego w dziele o Państwie. Podstawą jego są kasty; przedmiotem, jedność; a jedyną jednością, wspólność. Ale wspólność ta, tak przeciwna obyczajom i wyobrażeniom dzisiejszym, nieinaczéj urzeczywistnić się może tylko gdy rząd złożonym będzie w ręce filozofów, a młodzież wychowaną w zasadach prawdziwéj filozofii.

W traktacie o *Prawach*, którego część mamy przed sobą w przekładzie p. Bronikowskiego, Platon w wielu ważnych punktach odstępuje od swego programatu politycznego, objawionego w „Państwie". Zmiany te polegają głównie: na ustanowieniu praw cywilnych i kryminalnych, na uznaniu własności i rodziny, na podziale Państwa nie już na kasty ale na klassy udeterminowane podatkiem, wreszcie na wybieralności urzędników. — Stanowi on siedm przepisów, niejako siedm prawd, które ograniczać mają władzę, godność oraz wszelkie stosunki rządzonych do rządzących.—„Czyliż jedną (godnością) nie jest zaraz godność ojca i matki, i zgoła nie jest że wszędzie słusznym zaszczytem rodziców ażeby nad potomstwem swojem rządy wiedli"?— Tu, oczywiście jest rehabilitacya rodziny. Daléj, oddaje godność przedniejszym rodom i wiekowi: — „Za tém idą z kolei rządy szlachetnie urodzonych nad będącemi bez rodu; i toż trzecia godność z temi się łączy, żeby starsi władali a młodzi słuchali.... Czwarta znowu godność, żeby niewolnicy poddanymi, panowie ich władcami byli.... Piąta zaś, mniemam, żeby silniejszy władał, a słabszy ulegał". Tu Plato sprzeczny jest sam z sobą pod względem rozróżnienia jakie czyni między sprawiedliwością w porządku natury a sprawiedliwością w porządku uczucia moralnego, czyli prawa. Do tego stopnia obstaje on za tą przewagą siły nad słabością (die Macht vor dem Rechte), że wzmacnia ten piąty przepis pewnym nacis-kiem, odzywa się bowiem po wymienieniu go jeden z interlokutorów dyalogu: „Nader nieodzowne władztwo wymieniłeś". A na to odpowiada prawodawca: — „I najszerzéj rozprzestrzenione w przedewszystkich żywotworach a przez przyrodzenie nakazane, jak powiedział kiedyś tebański Pindar". — Szóstą znów, a według niego, „największą godnością będzie ta, która nakazuje aby nieumiejętny był powolnym, a rozumny prowadził i rządził". — I znów ratując się z poprzedniéj niekonsekwencyi, dodaje; — „Wszakże to, o najmędrszy Pindarze, nie przeciw naturze urządzonem twierdziłbym, lecz owszem podług niéj, że prawo *nad chętnemi* ale *bez gwałtu* panuje". — Nie spostrzega, że wyrażenie to niweczy przepis piąty, w razie gdyby słabszy nie chciał ulegać silniejszemu. — Nareszcie:— „Bogom miłą zatém i szczęśliwą wymieniając siódmą władzę, pewnego rodzaju losowaniu onęż poddajemy, a komu się przez nie w podziele dostanie, temu rządzić, kogo los ominie, temu odchodząc, poddawać się pod rządy najsłuszniejszym sądem przeznaczamy" [1].

Jakkolwiek więc Plato tyle ustępstw poczynił w „Prawach" względnie do „Państwa", gdzie może jednak i ile może, ukróca je i określa pewnemi zastrzeżeniami. W części traktatu, nie publikowanéj jeszcze przez polskiego tłumacza, dowiadujemy się, że własność nie należy do jednostki ale do Państwa, że pojedynczy jest raczéj dzierżawcą lub dożywotnikiem, że własność ta nie może zmieniać właściciela, a rosnąć ma prawo tylko do pewnych granic; złe skutki małżeństw stara się on zacierać pewną instytucyją zabraniającą kobiecie przynosić posag pod dach małżeński. Demokratyczny charakter tego nowego „Państwa" znajduje swą przeciwwagę w prawie które zmusza klassy wyższe do koniecznego uczestniczenia w skrutyniach a niższym klassom pozostawia w tém zupełną swobodę. Nareszcie Plato, wierny w tym względzie dawnemu programatowi, na szczycie téj konstytucyi, stawia radę którą nazywa boską, złożoną z filozofów, a ta ma w najwyższéj instancyi roztrzygać o interesach państwa. Nie od rzeczy będzie zauważyć, że pośród szerokich widoków w jakie obfitują „Prawa", znajdujemy już tam myśl ażeby wszelkim wydać się mającym ustawom przodował wykład motywów; godną także uwagi jest myśl ustanowienia pewnego rodzaju sądu przysięgłych, oraz instytucya *sofronisterów*, że tak powiem, karcicieli, powołanych do poprawiania winnych jako też do wymierzania im kary. Jest to jakiś zaród domów poprawczych i innych, które przejawiają się w późniejszych teoryach prawa karnego.

W ogóle, duch traktatu o Prawach jest zawsze ten sam co w traktacie o Państwie. Wszędzie tu znać, że filozof z żalem rozstaje się ze swoim ideałem, i gdzie tylko może usiłuje przyczepić się doń którąkolwiek stroną. Celem jego jest przez instytucye publiczne urzeczywistniać piękno moralne, cnotę; środki jego polegają na tem ażeby odjąć jednostce wszystko to bez czego ona obejść się może, rząd jego jest władzą najmędrszych, najlepszych, słowem filozofów,— krótko mówiąc, arystokracyą.

I otoż filozof ateński, niechcący wpadł w błąd potępiany przezeń w sofistach, to jest sprawiedliwość zastosował do miejsca i czasu. Bo i czemże w rezultacie jest jego polityka? Oto krytyką spółczesnéj mu polityki ateńskiéj. Ztąd to powstaje jego zamiłowanie do konstytucyi Kreteńskich i Spartańskich; ztąd zbyt częsty odskok od ducha Grecyi i Wschodu, a zwłaszcza niewierność ścisłemu rozumowaniu filozoficznemu w samych zasadach filozofii prawa i moralności, względnie do jego psychologii i etyki. Nadużycia ówczesnéj demagogii ateńskiéj doprowadziły go w rozumowaniu do nadużyć odwrotnych; dla uniknienia niebezpieczeństw fałszywéj równości i wyuzdanéj swobody, zmienności zachceń pospólstwa i zmienności ustaw, nie widział on innego sposobu tylko poddanie się wszystkich obywateli pod jarzmo wspólności niepodobnéj.

(1) *Prawa*; str. 29, 30.

Niespracowany hellenista nasz, p. Bronikowski, dał nam w przekładzie polskim znaczną część tego traktatu o „Prawach”—Przekład jego, jak mogliśmy zauważyć z przytoczeń, nakierowany jest ku temu ażeby z całą ścisłością nietylko już pod względem ducha ale w najmniejszéj wyrazowéj nawet drobnostce oddawał znaczenie pierwowzoru; styl zaś jego chyli się nieco ku barwie archaistycznéj, według nas niekoniecznéj. Trud to już i tak potężny jest łamać się z takim pisarzem jak Plato, swoboda języka mogłaby go w części umniejszyć; w każdym razie język nasz, przez samą konieczność dobierania wyrazów i zwrotów na oddanie tak subtelnych myśli jakie są w Platonie, bardzo zyskać może i wzbogacić swe wyrobienie.—Oczywista rzecz, że z przekładu p. Bronikowskiego korzystać mogą tylko mniéj lub więcéj wtajemniczeni, zastąpić on im może w zupełności przekłady w językach obcych: pożyteczniéj to, przyjemniéj, a nadewszystko zaszczytniéj, posiadać przekład Platona w języku własnym, niż udawać się do Szlajermachera lub Cousina, jeśli kto nie jest dość biegłym w greczyznie by mógł z oryginału korzystać. — Przekład ten wystarczającym jest dla ludzi w umiejętności filozoficznéj dojrzałych, dla uczniów niedostateczny. Ku temu celowi opatrzenie go kommentarzem zdawałoby się nieodzownem, tak jak to właśnie uczynił Cousin, którego trzynasto-tomowe dzieło, jest wzorem akademickiéj pracy i obmyślenia.

Kazimierz Kaszewski.

KRONIKA.

Tempora mutantur.... Zmieniają się czasy i świat i ludzie.... zmieniają się kroniki i kronikarze.

Dawniéj kronika była oschłym spisem wypadków, urozmaiconym sentencyą moralną, albo westchnieniem po lepszych czasach. Kronikarz w samotnéj celi kreślił sumiennie, acz nie wytwornie wszystko co mu pokorna myśl z pod mniszego kaptura podyktowała... Dzisiejsza o felietonowych roszczeniach kronika jest efemeryczną pianką z niczego z dodaniem wszystkiego potrochę... Kronikarz powinien biegać po ulicach, po widowiskach publicznych, po przybytkach wiadomości przeróżnych.... Od pióra jego czytelnik żąda przedewszystkiém dowcipu, rzutkości i *wytrawności*, jak wyrzekł znany powszechnie felietonista, mąż niewątpliwie wytrawniejszy od innych.

I jeszcze jedno brzemię zwaliło się na biednych kronikarzy. Dawniéj, kiedy ludzkość nie znała, ani druku, ani kolei żelaznych, ani telegrafów, idee i fakta przesuwały się po scenie świata powolnie i uroczyście, z odgłosem trąb i kotłów, na podobieństwo weselnego orszaku albo konduktu pogrzebowego. Dzisiaj pomysły i wypadki, mądrość i niedorzeczność, cnoty i namiętności, pędzą na kształt wichury, co chwila nowe, na chwilę roznamiętniające, po chwili obojętne i zapomniane. Kronikarz załamuje ręce wśród téj zawiei życia, a nie chcąc być niesumiennym, ciska z rozpaczą najwytrawniejsze pióro.

Ile jest np. do powiedzenia o saméj Warszawie!... Koncerta, widowiska, odczyty, rauty, plotki, towarzystwa akcyjne, dobroczynność, magia, sztuki łamane, dziennikarskie waśnie i t. d. i t. d... prawdziwa puszcza drzew i pasożytnych powoi.... I od czego kronikarz ma zacząć sprawozdanie?... Ha! tradycyjnym zwyczajem zacznijmy od pogody.

Mgły, deszcz i błoto stanowią obecnie codzienny widok nieba i ziemi. Zdawało by się, że słońce na prawdę zamyśla zgasnąć, aby usprawiedliwić groźną przepowiednię jednego z pism warszawskich... Żegnajcie natenczas barwy, rośliny i zwierzęta; żegnaj poetyczny blasku księżyca?... Szczęściem katastrofa ta ma nastąpić dopiero za kilka milionów lat, a do tego czasu ludzkość zmądrzeje o tyle, że wynajdzie sposób zastąpienia zgasłego luminarza czém inném.

Od pogody przejdźmy do rzeczy pozytywniejszych.

Ze świata przemysłowego zaznaczamy wiadomość o projekcie ustawy nowego towarzystwa akcyjno - spółdzielczego, zawiązującego się w Warszawie pod nazwą: „Pośrednik.“ Celem Towarzystwa ma być podniesienie przemysłu krajowego przez pośrednictwo w handlu za pomocą komisu i dostarczania kredytu. Kapitał zakładowy Towarzystwa składać się ma z kapitału akcyjnego stałego i udziałowego zmiennego. Pierwszy oznacza się na 500,000 rs. podzielonych na 5,000 akcyj, lecz może być zwiększony do 1 miliona rs. Kapitał udziałowy powstaje z udziałów osób składających stowarzyszenie i zajmujących się przemysłem rolnym, rzemieślniczym, fabrycznym i handlowym.

Właściciele ziemscy gubernii łomżyńskiéj wypracowali projekt ustawy Towarzystwa wzajemnego kredytu. Główne zasady projektu skreślone zostały na wzór ustawy Towarzystwa urganizowanego niedawno dla gubernii warszawskiéj.

Najpotężniejsze obok żelaza czynniki cywilizacyi, węgiel i torf, nabierają coraz większego miejscowego znaczenia. Pan Glinojecki znalazł podobno w dobrach Duninowo (w powiecie gostyńskim) łożysko torfu zawierające około 670,000 sążni sześciennych, wyrównywających co do opałowéj wartości tyluż sążniom sosnowego drzewa. W majątku Wistka Królewska (w powiecie włocławskim) znajduje się również doskonały torf w ilości około 300,000 sążni sześciennych. Dowiadujemy się także o odkryciu węgla brunatnego we wsi Ruminie, o półmili od Konina odległéj.

W tym jeszcze roku ma być koncessyowaną droga Łódzko-Kaliska. Pińsk również spodziewa się gałęzi, która ma go połączyć z Domanowem na drodze smoleńsko-brzeskiéj, a od Pińska skierować się do jednego z punktów kolei brzesko-kijowskiéj.

W jedném z tutejszych pism czasowych znaleźliśmy wiadomość o projekcie tunelu podziemnego mającego posłużyć dla kolei miejskiéj w Warszawie. Nie wiemy o ile wiadomość ta jest wiarogodną.

Dnia 12 b. m. Dr. Mieczysław Malcz rozpoczął szereg pożytecznych odczytów „o przesądach społeczeństwa w rzeczach lekarskich w przebiegu historycznym i bieżącym”, na korzyść niezamożnych studentów warsz. Uniwersytetu.

Sprawozdanie o powyższych odczytach odkładamy na później.

Nie możemy przemilczéć o poronionéj zemście pewnéj firmy handlowéj za niekorzystną wzmiankę o jéj produktach, zamieszczoną niegdyś w Kuryerze Warszawskim. Sprawa oparła się o Sąd Kryminalny, który wymównie potępił targanie się na swobodę opinii publicznéj ze strony drażliwych producentów. Oto jest kilka ustępów wyjętych z sądowego wyroku: „Każde pismo peryodyczne jest niejako organem opinii publicznéj a w wiadomościach, tak zwanych brukowych, nie tylko winno obznajmiać publiczność ze wszystkiém co wpływa na dobrobyt społeczny i rozwój umysłowy, lecz obowiązkiem jego jest wykrywać w każdym razie dobrą i złą stronę obrazu. Krytyka bezstronna i nieuwłaczająca jest aureolą piękna, cierniem dla błahości... We wszystkich niemal dziennikach spotykamy recenzye wychodzących dzieł, utworów, artykułów, ocenienie wynalazków, tudzież poglądy na zabezpieczenie zdrowia i życia mieszkańców i spostrzeżenia dążące ku ulepszeniu wynalazków lub usunięciu nie dogodności. Podobne objawienie zdania jest niejako bodźcem do konkurencyi, wpływa na dobro ogółu przedstawiając zalety lub ujemne strony przedsięwzięcia... Obrażona miłość własna niesłusznie napastowanego producenta ma możność polemiki, celem odparcia czynionych zarzutów. Skierowanie zadosyć uczynienia na drogę procesu sądowego, celem wykazania mylności dziennika w zapatrywaniu się na przedmiot, dopuszczalném tylko być by mogło, gdyby osobistość obraźliwie dotkniętą była, lub czyn przestępny zarzucony. W przeciwnym razie rozbiór polemik przez Sądy jest zbytecznym, gdyż niezależności zdania i odwagi cywilnéj od dzienników się wymaga...”

Ciekawą jest walka szarpiąca obecnie starozakonnych w Warszawie. Echo jéj znaleźliśmy w „Izraelicie”, piśmie prawdziwie zacném, postępowém i dobrze redagowaném. Stronnicy tradycyi, często szkodliwéj i bezrozumnéj, nie wdają się w pisanie, a walczą więcéj intrygą; *Izraelita* zaś nie obawia się światła dziennego.

Dnia 1 Kwietnia ma się ukazać 1 numer *Gazety Płockiéj*. Bodajby się nie skończyło na *prima aprilis!..* Organa potrzeb miejscowych zasługują na powszechne spółczucie i poparcie.

Prowincya naśladuje Warszawę w dobrém i złém. W Kielcach p. Augustynowicz miał odczyt publiczny na dochód niezamożnych uczniów gimnazyum: „O udziale literatury w rozwoju społeczeństwa”. Słuchacze zgromadzeni w niewielkiéj liczbie z powodu mylnie zapowiedzianéj godziny odczytu, wyszli niezadowoleni z nader powierzchownego wykładu prelegenta.

Z nad Pilicy korrespondent „Wieńca” udziela wiadomość o koncercie i teatrze amatorskim, który miał miejsce w tamtejszéj okolicy d. 3 marca na korzyść niezamożnych studentów Warszawskiego uniwersytetu. Ta dobroczynna zabawa urządzona była w miasteczku Nowém Mieście nad Pilicą, staraniem doktora B. i sąsiedniego obywatela P. Zjazd był liczny, bo wynosił blizko 400 osób z grojeckiego, rawskiego i radomskiego powiatów, a nawet i z dalszych okolic. Mimo dość wysokiéj ceny wiele osób ofiarowało naddatki... słowem pod względem finansowym rezultat spektaklu można nazwać bardzo pomyślnym. Sceniczna część składała się z dwóch komedyek jednoaktowych: *Kartka wycięta* i *Zawierucha*. Publiczność była zupełnie zadowolniona... W niedługim czasie przygotowuje się podobna zabawa i na tenże cel w Górze Kalwaryi.

Lublin również naśladuje Warszawę. Dowodem tego jest następująca wiadomość:... „We wtorek i czwartek publiczność licznie bardzo zebrana w tutejszym teatrze, bawiła się operą komiczną Offenbacha „Piękna Helena”, która po kilku przedstawieniach niezupełnych, bo tylko w jednym lub dwóch aktach, nareszcie w całości

widzieć się dała, i bawiła ciekawe oczy mężczyzn i kobiet, starych, młodych, młodziutkich, a nawet i dzieci. U nas bowiem bardzo wiele rodziców dają *dzieciom*, i to w całém znaczeniu dzieciom, nauki praktyczne, uobrazowane, bo przedstawiane na deskach teatralnych..." Widocznie Lublin nie odznacza się usposobieniem wielkopostném.

Ciekawy i pocieszający fakt podaje korrespondent *Kuryera Lubelskiego* z Janowa. Po gorzkich skargach na apatyę publiczną, na zaniedbanie oświaty, na demoralizacyę sług i ogromną ilość żebraków, korrespondent dodaje:... „Przytaczano mi jako wyjątek pewne małe w naszym powiecie miasteczko U., w którém nigdy ubogiego żebrzącego publicznie nie spotkasz... Miejscowość ta ma od lat czterdziestu blizko poczciwego i niezmordowanego w pracy nauczycielskiéj, schodzącego już dziś z tego pola w osobie pana B..., któremu cokolwiek tam dobrego i moralnego da się dostrzedz, za sprawę jego usiłowań śmiało przyznać można. Na dwa tysiące i pół ludności, dwieście osób może naliczy się nieumiejących czytać;—a człowiek ten przeprowadzając przez cztery dziesiątki lat setki pod swym sterem młodego pokolenia, wypracował w niém nie tylko znajomość czytania i pisania, ale wlał moralność, wpoił zasady, związał z pracą szacunek ojca i matki i uchronił od rumienienia się w obec jałmużnodawców. Wszystka niemal ludność składa się z rolników, praca więc w tym kierunku, aczkolwiek prostym i mozolnym sposobem, idzie wystarczająco, a nawet z pewnym procentem w stosunku potrzeb domowych... Gdzie praca, pilność na straży, tam bieda wéjść się nie waży",— to też chleba tam nigdy nie braknie, a do tego całe okoliczne sąsiedztwo w promieniu kilkomilowym, jak dawniéj tak i dziś, produktami i zbożem ztamtąd dowożonemi żywi się. Co najbardziéj wybitném jest w ludzie tak postawionym, to poszanowanie własności bliźniego, a upadek majątku jednego obudza współczucie wszystkich. Otóż co może chociaż elementarny, silną rozsądną wolą jednego poprowadzony kierunek umysłowy". Szkoda, że korrespondent nie wymienia nazwiska człowieka, któremu już nie okolica lecz cały kraj uznanie i wdzięczność serdeczną winien.

Zkądinąd narzekań mamy bez liku... Użalania się Korabicza z powiatu Mławskiego na dotkliwy brak domu zleceń i zjazdów rolniczych, na niedoszły projekt otworzenia spółki spożywczéj w Mławie i t. d., przekonywają, rozczulają, lecz na nic podobno się nie przydadzą.

Bolesną stratę poniosła literatura polska przez śmierć Jakóba Wagi, uczonego naturalisty, doświadczonego pedagoga i wielce zasłużonego pisarza. Był on autorem *Flory Polskiéj* i wzorowym tłómaczem dzieł Flammariona (O wielkości zamieszkiwanych światów) i Figuier (Historya roślin, z cennemi dodatkami o Florze krajowéj). Pamięć zmarłego na zawsze otoczona czcią pozostanie.

W Poznaniu przeniosła się do wieczności Marya Springerówna, znana w poezyjnéj literaturze naszéj pod imieniem *Maryi z Gniezna*.

TWARDA GĘŚ.

Obraz J. Gaissera z Monachium.

Jedną z zasadniczych zalet dzieła sztuki plastycznéj, a więc i obrazu jest jasność i zrozumiałość niewymagająca objaśnień, tą zaletą odznacza się obraz którego kopię podajemy. Jest tu wprawdzie przedmiotem obrazu zdarzenie zupełnie zwyczajne, pospolite, czterech biesiadników, którym gospodyni zawód zrobiła podawszy na stół gęś twardą i łykowatą zamiast pulchnéj jaką sobie zapewne obiecywali; pomysł ten jednak wyrażony jest tak prawdziwie, z takiem życiem w układzie i wyrazach twarzy, iż stanowi istotnie komiczną scenę z życia potocznego. Stopniowanie wyrazów twarzy i postaci od gniewu, zmartwienia, do usiłowań rozćwiertowania starego ptaka przy których zdaje się iż biesiadnicy zgrzali się już, i aż do oczekiwania w jakiém widzimy tłuściocha łykającego ślinkę, a trzymającego przygotowany na najlepszy kęs widelec, stopniowanie podniesione jeszcze zakłopotaniem gospodyni, stanowi zaletę artystyczną nieczęsto napotykać się dającą w obrazkach potocznych któremi wystawy sztuk pięknych najczęściéj zapełniane bywają.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

KRETYNI.

„Z niemałym mozołem (mówi jeden z podróżników) wdrapywaliśmy się na szczyt jednéj z gór Szwajcaryi — w tém na skręcie drogi wypada znienacka jakaś dziwna, szczególna istota: ni człowiek, ni zwierzę. Ciało grube, małe niekształtne i potworne; na niém głowa podobna do małpiéj, pokryta szczeciniastym włosem. Skóra żółta, pomarszczona — wzrok błędny i martwy — wyraz twarzy głupowaty, zwierzęcy. Z ust wisiał jak bryła mięsa długi, gruby, nieruchomy język. Kość pacierzowa była skrzywiona w łuk tak przykry, że prosta postawa była zgoła niemożebną, a nieszczęśliwa istota musiała się czołgać na 4-ch z jednego miejsca na drugie.

Byłże-to chłopiec, dziewczyna, lub może człowiek w latach? — ani sposób rozeznać. Z litości podaliśmy nieszczęśliwéj istocie niektóre cząstki naszych zapasów—nie głos ale chrząkanie jakieś zdawało się być oznaką podziękowania, a podane kawałki chleba i mięsa tonęły bez śladu w ustach biednego stworzenia, pożerającego z nieopisaną pożądliwością każdy kęsek.

Nie mogłem przez długi czas pozbyć się z pamięci tego strasznego widoku, i odtąd w życiu mojém nie przestawałem zajmować się szczerze i wszechstronnie losem tych istot."

Tak mówi podróżnik — a teraz kilka słów objaśnień.

Kretyni—tak nazywają tych nieszczęśliwych—znajdują się po najrozmaitszych zakątkach ziemi, ale najwięcéj jest ich w błogosławionych dolinach Szwajcaryi i Niemiec południowych. Biada dziecku, które dotknięte klęską kretynizmu, zostaje zostawione sobie samemu! Pogrąża się ono w ten stan straszliwy, z którego nie ma powrotu — w ów stan zwierzęcy, budzący naprzemian to wstręt okropny to litość serdeczną. Wejrzenie zewnętrzne jużeśmy opisali powyżéj. Zmysły tych istot są nieczynne, albo nie istnieją wcale; brak im najczęściéj smaku, słuchu i powonienia. Stworzenia takie śpią i żyją tak dobrze na mierzwie i w oborze, jak i w ogrodzie kwiecistym. Nie wiedzą, co to jest chcieć lub potrzebować. Napój i pokarmy trzeba im podawać forsownie jak niemowlętom. Mowa nie istnieje wcale, albo składa się co najwięcéj z kilku tonów i krzyków nawpół zwierzęcych. Życie ich, to tylko proces pożywania, żucia, trawienia i spania. Dusza śpi tu snem wiecznym; tego ducha ciemności nie oświeca ani jeden promyk światła — to noc straszliwa — sen — letarg — śmierć żywa.

Choroba ta nie zawsze występuje w tak straszliwych rozmiarach; miewa różne stopnie; w ogóle pod kretynizmem rozumieć należy najrozmaitsze kalectwa organiczne, które istniały albo już przed urodzeniem dziecka, albo się rozwijają później dopiero w skutek wpływów zewnętrznych, napadających jednocześnie na ciało i ducha.

W północnéj Europie nie istnieje kretynizm prawie wcale; rzadko pojawia się w Danii i Rossyi. W niektórych okolicach pojawia się tak zwane „wole," ale choroby téj do kretynizmu liczyć nie można. Za to setkami i tysiącami naliczyć można kretynów w dolinach środkowéj i południowéj Europy. Mianowicie w dolinach pirenejskich, potém w Wallis, Graubündten, Fryburgu, Aargau, Tessin, w dolinie Aosta i Chamouny, w Apeninach, w Kalabryi i Sycylii. Daléj spotykamy kretynów w Tyrolu, Salcburgu, Styryi, w niektórych dolinach Karpat i Wołoszczyźnie. W kretynów obfitują niestety także jeszcze doliny nad Menem, Nekarem, Saalą, w lesie turyngskim i saskich górach kruszcowych.

I w Azyi spotykamy tę straszną klęskę, mianowicie w okolicach gór Himalaja, w Tartaryi i Mongolii. W Ameryce nie brak kretynów na wyżynach Quito—a w Brazylii istnieją całe osady tych nieszczęśliwych. A owe Azteki, których obwożono przed kilku laty po Europie, czémże są inném jak nie kretynami?

Kiedy Napoleon r. 1811 kazał robić poszukiwania w sprawie kretynizmu, znaleziono w saméj dolinie Wallis przeszło 3000 tych nieszczęśliwych. W podobnym celu kazano policzyć kretynów w Styryi, i naliczono ich ...6000. W Badenie wykazano 490, w Sardynii 1084, w Wirtembergu 4967.

Ale jakież mogą być przyczyny téj straszliwéj choroby?

W tych okolicach, w których kretynizm massami i epidemicznie występuje, są zapewne tylko miejscowe przyczyny źródłem téj choroby. Aleksander Humboldt przypisywał to brakowi elektryczności atmosferycznéj; Födéré szukał przyczyn w nadmiernéj wilgoci atmosfery; inni szukali przyczyn w niezdrowych wyziewach gruntu; inni mieli wodę do picia w podejrzeniu. Wszystko to może w saméj rzeczy przyczyniać się niezmiernie do rozwoju choroby, bo co tylko osłabia i podkopuje zdradziecko organizm ciała, musi być także przyczyną epidemicznego kretynizmu, zwłaszcza że się odzywa dziedzicznie w kilku po sobie idących pokoleniach. Środkiem zaś zaradczym może tu być tylko to, co fizycznie i moralnie podtrzymuje i krzepi ludność miejską.

Z mnóztwa różnych środków zaradczych najlepszemi i najniezawodniejszemi okazały się: *a)* dobra uprawa gruntów, osuszanie moczarów i tamowanie wylewów rzecznych; *b)* ulepszenia mieszkań; dobre, zdrowe, jasne i sucho położone; ciepło, światło i zdrowe powietrze po ciasnych izbach proletaryatu, i co zatém iść powinno, rzetelne pilnowanie i przestrzeganie przepisów architektonicznych; wysoka ważność tego argumentu sprawdziła się już niejednokrotnie spaleniem staréj lichéj siedziby i postawieniem nowéj, w któréj nie zjawił się potém ani razu jakikolwiek ślad epidemii; *c)* polepszenie pokarmów, wstrzymanie się od trunków gorących, wreszcie dbałość o czystą świeżą wodę do picia; *d)* wzbro-

nienie związków małżeńskich między krewnymi; *e*) lepsze wychowanie, mianowicie fizyczne.

Bardzo ważném i doniosłém było odkrycie Saussure'a, słynnego naturalisty genewskiego, że kretynizm w Szwajcaryi sięga tylko do 3000 stóp wysokości, i że wyżéj nie istnieje prawie wcale albo bardzo rzadko. Spostrzegł to mianowicie po różnicach, jakie zachodzą między ludnością mieszkającą ponad 3000 stóp, a ludnością zalegającą niziny i doliny. Cera jednych i drugich tak była odmienną, usposobienie i cały w ogóle charakter tak różny, że niepodobna było nie przypisać przyczyn złego nizkim położeniom. Saussure'a odkrycie potwierdza się codziennie. Tylko te granice nie wszędzie są jednakie; stosują się one do geograficznego położenia krajów; w Wirtembergu np. nie wychodzi kretynizm poza 2000 stóp wysokości. Gdzieniegdzie w Szwajcaryi można go znaleźć znowu i ponad 3000 stóp, ale to tylko w tych okolicach, które, acz wysokie, mają dokoła jeszcze wyższe szczyty ponad sobą, tak, że tworzą kotlinę pozbawioną regularnego przepływu powietrza i światła. Powietrze takich kotlin jest zwykle zepsute, jak zepsutą jest i woda do picia, w któréj nawet gołém okiem dopatrzeć można mnóztwa szkodliwych wymoczków.

Atoli nietylko epidemicznie, to jest po całych obszarach niezdrowych okolic, lecz i sporadycznie występuje w ogóle kretynizm w tych miejscach, gdzie tylko ludzie mieszkają. Tu przyczyn złego tysiącami naliczyć można; głównie jednakże występuje kretynizm w takich razach albo dziedzicznie albo z powodu małżeństw zawieranych między krewnymi. Jad z matki przechodzi na dziecko, i wtenczas choroba ta jest nie do wyleczenia. Ale i ślepy traf, nieszczęście, sieroctwo, zła opieka, kary cielesne i tym podobne fizyczne przeszkody mogą spowodować to kalectwo. Wystarczy czasem upaść na głowę, przestraszyć się psa wielkiego i t. d., ażeby zostać na zawsze idyotą; kretynizm małych dzieci od tego się właśnie najczęściéj zaczyna; i jeźli był już w zarodku, w organizmie, to go właśnie takie drobne a nagłe wypadki obudzić mogą. W wielu razach przyczynia się do tego złe pożywienie i złe wychowanie.

Dopiero nowszym czasom przypadło zadanie pomyśleć o środkach skutecznych przeciw kretynizmowi. Przedewszystkiém starano się dobadać przyczyn właściwych. Mężowie stanu, lekarze, duchowni, pedagogowie podali sobie rękę, ażeby położyć tamę kretynizmowi występującemu epidemicznie. Po ścisłéj kontrolli tego, co zrobiono na korzyść biednych kretynów, okazało się, że np. w dolinie Wallis liczba kretynów znakomicie zmalała. Podobnież w dolinie Viespach po osuszeniu bagien jest dziś kretynów o $^2/_3$ mniéj aniżeli dawniéj, a w niektórych okolicach kantonu Glarus ustał najzupełniéj epidemiczny charakter téj choroby; mniéj go także w Alpach Salcburgskich. Oświata zaglądająca pomału do chat wieśniaczych, mianowicie do odległych i zaklętych ustroni i kryjówek alpejskich, fizyczne i psychiczne wychowanie, cała nakoniec administracya i kontrola życia wiejskiego ze strony władz krajowych położyły już w niejednym zakątku stanowczą tamę kretynizmowi.

Po raz pierwszy zajęto się kształceniem kretynów w Salcburgu r. 1825. Główne atoli zasługi położył tu lekarz szwajcarski, Guggenmühl, który w gorących odezwach wzywał kilkakrotnie pomocy wszystkich rządów i narodów dla zwalczenia téj strasznéj epidemii. Słowa jego znalazły odgłos i przyjęcie jaknajlepsze w całéj Europie.

Z wiosną roku 1841 otworzył Guggenmühl w okolicy Bernu szkołę dla kretynów; przedsięwzięcie to doznało szczerego poparcia i wywołało inne podobne zakłady. Już co do położenia nie mógł Guggenmühl wybrać lepszego nad to, w jakiém swą szkołę umieścił. Góra Abendberg (tak się zwała ta miejscowość), otoczona prześliczném sąsiedztwem mniejszych szczytów, kąpiąca się w niezliczonych cudach natury, wyniesiona przeszło 3000 stóp po nad poziom morza, opasana zdala dwoma jeziorami, obfitująca w bujną roślinność i powietrze przeczyste, oblewana całodziennie pełnemi promieniami słońca, nie mogła była być szczęśliwiéj wybraną na mieszkanie dla kretynów.

Cała Europa popierała czynnie przedsięwzięcie Guggenmühla; prasa nie miała pochwał dosyć dla niego. Ale to też zawróciło głowę Guggenmühlowi. Spostrzegł prędzéj aniżeli się spodziewał, że nie zdoła dotrzymać wszystkich obietnic; sam się przedewszystkiem zawiódł okropnie. Ale zamiast zeznać jawnie i szczerze swe błędy, zaczął uciekać się do wybiegów, czasami bardzo zręcznych ale nie zawsze czystych i uczciwych. Tylko latem przesiadywał w zakładzie, lecz z nadejściem zimy wynosił się za granicę, zostawiając cały zakład w ręku kilku kobiet niedołężnych. Latem nie zbywało tam na niczém; za to w zimie brakowało rzeczy najpotrzebniejszych, mianowicie pożywienia, sukien, opału—ale bo i któż tam zimą zaglądał do zakładu? nikt zresztą nie podejrzywał Guggenmühla o takie szalbierstwo. On tymczasem zbierał grosze z tłustych ofiar, płynących bez przerwy ze wszech stron. Nikt też nie umiał okłamywać znakomiciéj publiczności, jak on. Jego kretyni umieli nietylko czytać, pisać i rachować, ale mówili wcale nieźle po francuzku i angielsku — szkoda tylko, że kłamstwo wyszło na jaw dosyć wcześnie. Guggenmühl nałowił do zakładu mnóztwo zupełnie zdrowych dzieci, wydając je potém za kretynów.... Spostrzegli to lekarze zagraniczni, i tak zakończyła się ta smutna i gorsząca sprawa. Guggenmühl umarł w zapomnieniu i pogardzie przed kilku laty:

Jednéj zasługi niepodobna odmówić Guggenmühlowi, a mianowicie téj, że pierwszy zwrócił uwagę rządów i publiczności na położenie nieszczęśliwych kretynów. Po upadku szkoły Guggenmühla założono kilka szkół innych, lecz już nie wymagano od nich tyle, ile sobie obiecywano kiedyś po instytucie pierwszego twórcy szkół kretyńskich. Nie wszyscy zresztą kretyni są do wyleczenia. Żadnéj nadziei nie dają: 1) starzy kretyni, 2) idyoci, których ręce zajęte są ustawicznie przed oczyma, 3) nieposiadający dostatecznéj ilości mózgu, z głową zakończoną prawie śpiczasto, 4) tacy, którzy od chrząkania lub skomlenia przechodzą nagle w płacz lub krzyk przeraźliwy, 5) niemi, obdarzeni słuchem, 6) tacy, co się ustawicznie kręcą, 7) epileptyczni.— U wszystkich tych istot może być mowa tylko o przyzwyczajeniu, ale nie o wychowaniu lub wykształceniu; natomiast z kretynów nie tyle upośledzonych, co tamci, bywają ludzie wcale przydatni do pracy i pomocy w życiu zwyczajném; rzecz to oczywiście instytutów i ludzi, umiejących prowadzić te biedne ofiary drogą światła do celów życia. Dotąd najlepszym tego rodzaju zakładem jest szkoła Dra Kerna dla kretynów i idyotów w Moekern pod Lipskiem. I u nas ma się także otworzyć podobna instytucya, jako osóbny oddział przy istniejącym już zakładzie głuchoniemych i ociemiałych.



Panu **L. Dąmb.** w Górkach, Gawęda pod tytułem: „Krzyż“ drukowaną nie będzie.

Panu **Al. M.** „Fragment“ drukowany nie będzie.

OD REDAKCYI.

Wieniec wychodzić będzie w drugim kwartale 1872 roku w tym samym formacie i treści, jak dotąd **dwa razy na tydzień** jak najregularniéj **we Wtorek i Piątek** każdego tygodnia.

Prenumerata w Warszawie wynosi:

rocznie	**rs. 5**	**k. 40.**
półrocznie	**rs. 2**	**k. 70.**
kwartalnie	**rs. 1**	**k. 35.**
miesięcznie		**k. 45.**

Na prowincyi i w Cesarstwie:

rocznie	**rs. 8.**
półrocznie	**rs. 4.**
kwartalnie	**rs. 2.**

Dla uniknięcia zwłoki w ekspedycyi uprasza się o jaknajspieszniejsze nadsyłanie prenumeraty.

Sprostowania. W numerze 19 Wieńca, na str. 169, wiersz 29 od góry, zamiast *emyer*, czytać *ecuyer*.

Na str. 169, wiersz 29 od dołu — zamiast *rządem*, czytać *sądem*.

W numerze 21 Wieńca, w artykule „Pytania Czasu“ na str. 183, szpalcie pierwszéj, w wierszu 14-tym od góry, zamiast *nieruchomy*, czytać *nieuchronny*

Treść: Pytania Czasu przez D. Henkiela (dokończenie). — Niewiasty XIV wieku, ustęp z czasów obyczajów średniowiecznych, przez Chomętowskiego, (c. d.) — Korespondencya ze Lwowa (dokończenie). — Przez Tatry. — Herod-Baba, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Przegląd literacki Kaszewskiego. — Kronika. — Ze świata społecznego i naukowego, Kretyni. — Odpowiedzi. — Od Redakcyi. — Sprostowania. — **Ryciny:** Twarda Gęś. — Wyjazd wózkiem góralskim. — Bród.—

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 28 Февраля (11 Марта) 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.